Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 24. Października 1880 r. Tom XI.

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 43.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 zł. 60 ct. półrocznie 8 zł. 80 ct. kwartalnie 4 zł. 40 ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

XVII.

Wyjazd.

Podróżny, którego pan Maciej spotkał, był to imć Jan Okinicz, małżonek pani Elżbiety, a ojciec Michasia i Justysi.

Przybycie jego wniosło w dom radość wielką. Uciecha opanowała wszystkich, nie wyjmując pani Krystyny, która zżywszy sie nieco z rodziną Małuskich, uwlekła się mimowoli radością ogólną. Okinicz był to chłop setny, z dużemi wąsami i z marsowatą miną. Wąsy obmarzły mu na zimnie, więc nim się witać zaczął, pierwej sąple poobrywał i, poobrywawszy, najprzód żony swojej babkę, następnie matkę w ręce całował, w końcu żonę uściskał i dzieci do góry podnosił, przypatrując się im do okna. Przywitawszy się jeszcze z ojcem i szwagrem, skłonił się pani Krystynie i spojrzał na nią uważnie.

— Pani Łobodzina, starościanka buska z domu... — odezwała się pani Janowa.

— Służby moje mościwej pani!... — pan Jan na to.

Zarzucono go wnet pytaniami; lecz on, nim do odpowiadania przystąpił, pierwej dzieciom po bubliku dał.

Bubliki, są to obwarzanki żydowskie. O! cóż to za uciecha była.

Pan Jan rozgaszczał się powoli — rozprostowywał się, wyciągał i usiadłszy zaczął wiadomości udzielać. Czynił to, jako mąż stateczny, z rozwagą i namysłem i z zacięciem samochwalstwa. Założywszy nogę na nogę i rozparłszy się, wąsy gładził, pochrząkiwał, pomrukiwał i rzucał frazesy, odnoszące się do czynności wojennych, dokonanych w ciągu jesieni. Mówił o zdobywaniu grodów, o pobijaniu wojsk nieprzyjacielskich, o wyprawach na brzeg prawy Dniestru na ordy tatarskie, które tam zimować chciały. Zdawszy w sumaryczny sposób sprawę z tego, co się zrobiło, przeszedł do tego, co się robić ma. Wątpił, ażeby Turcy Sobieskiego zaczepiać się odważyli, a opierając się na wątpliwości tej, jak na pewniku, konkludował, że na wiosnę pozostanie jeno zdobycie Kamieńca i pokonanie Doroszenka, o którym słychać było, że trzyma przy sobie ordę w Czehryńszczyźnie.

— I dlatego to — dodal — król jegomość w Bracławiu zimuje.

— W Bracławiu!... — zawołała pani Krystyna.

— A przy nim i piechota autoramentu cudzoziemskiego...

— Więc i ojciec mój!... — rzekła i bladością śmiertelną się oblekła.

Pan Jan głowę skłonił.

— Ojciec mój... — szepnęła kobieta.

— Zaszczyt miałem widzieć imć pana starostę, gdym przez Bracław przejeżdżał... Kupowałem właśnie, hm! bubliki dla dzieci, kiedy imćpan starosta z królewskiej wracał rezydencji... Słychać, że król jegomość układów tentuje...

Wyrazy ostatnie wziął za kanwę i na kanwie tej haftował plany polityki wielkiej, zahaczającej o Niemcy, Francją, Moskwę, Szwecją i Persją. Rzecz prosta, wobec polityki tej rzecz tak drobna jak sprawa pani Łobodziny, schodziła do zera.

Pani Krystyna słuchała w milczeniu, naśladując w tym względzie wszystkich, którzy, jeżeli się odzywali, to na to jedynie, ażeby pytania zadawać. Pan Jan rozprawiał a rozprawiał.

Na słuchaniu pana Jana zeszedł czas do wieczora. Wieczorem dopiero, przy wieczerzy, pan Maciej, który w ciągu dnia od pytań się wstrzymywał, zagabnął:

— A jakże tam droga, Janie?...

— Niczego... ujeżdżona... Czy ojciec się dokąd wybiera?...

— Chcę najprzód do Czeczelnika skoczyć...

— Na jarmark, hm...

— Mam tam nieco miodu i wosku... możeby to się sprzedać dało... Ha! — dodał z oznaką niecierpliwości żywej — ten mi pasiecznik krzywdę zrobił...

— Albo co?... — zapytał zięć.

— Zapodział się gdzieś w chwili, kiedy go właśnie potrzebuję...

— Hm! na mandrówkę poszedł... Tatarów w Bracławskiem nie ma, to naród się kręci, zbiera po jarmarkach, po traktach... dla dziadygów to żniwo: jest gdzie i komu Mikołę zaśpiewać...

Pan Maciej nic nie odrzekł na to. Pan Jan tedy odezwał się:

— Ojciec powiada: do Czeczelnika najprzód... A potem?...

— Wypadnie mi do Bracławia dobiedz...

Pani Krystyna spojrzała na jegomości z wyrazem podzięki w oczach. Domyśliła się, że zamiar dobieżenia do Bracławia powziętym został na intencją jej.

Na panią Krystynę spojrzał Jurek, a w oczach jego zaświecił wyraz obawy niby.

Pan Jan odezwał się:

— Do Czeczelnika służę ojcu na towarzysza, do Bracławia nie... A kiedyż to jarmark wypada?

— Od dziś za dni dwa...

— Cóż to mamy dziś?... poniedziałek... wtorek... środa... we czwartek... — rzekł pan Jan, na palcach licząc — tyle właśnie, ile potrzeba, ażebym sobie gnaty wyprostował trochę... Ojciec wierzchem?...

— Nie... — pan Maciej na to — *przyłagodzę* sanie, chcę bowiem krążków kilka wosku zabrać ze sobą... Nie wiesz, jak się wosk płaci?

— Hm!... — odmruknął pan Jan, brwiami i wąsami mrugając a głową kiwając... — Płaci się nie najgorzej...

Powiedział cenę i przeszedł wnet do materji innej.

Nazajutrz przez dzień cały jegomość sanie *przyłagadzał* — sanice zbijał, wasąg na takowych utwierdzał i dyszel a orczyki przyczepiał. Robota ta zajęła mu dzień i następny jeszcze. We środę wieczorem upakował sanie krążkami wosku, który od mrozu twardym był jako kamień, i we czwartek z Ostapem i z zięciem puścił się w drogę przed dnia świtaniem. Z przyczyny wosku, którego jegomość nabrał ile wlazło, jarmarkowicze nasi bokiem na saniach siedzieć musieli. Para koni ledwo z miejsca ruszyć zdołała, ale to dlatego, iż sanie przez noc do gruntu przymarzły. Przez las pospieszać trudno było bez drogi. Musiano się przez zaspy śniegowe przebijać i nie prędzej aż w Łuhu wydostano się na drogę jeżdżoną. Na drodze konie rzęsistym pomknęły kłusem. Dopędzano i wymijano dużo podwód do miasteczka podążających; spotykano znajomych, szlachciców i włościan: jarmark zapowiadał się dobrze.

Zapowiedź nie zawiodła. Ludność korzystała z momentu od Tatarów wolnego i zbiegła się tłumnie z okolicy, z produktami uchowanemi przed łapczywością najezdników. Przybyli też i kupcy ze stron dalszych, poszukując szczególnie tego artykułu, który u pana Macieja był do zbycia jedynym. Żydkowie skupili się około fury z woskiem i krzyczeli, szarpali, targowali, bili się pomiędzy sobą, nareszcie zabrali, zapłaciwszy gotówką. Jegomość i Ostap nie odstępowali od sani, mimo to, gdy do wydawania kręgów przyszło, pokazało się, że czterech nie stało. Ostap klął z tego powodu, rady jednak nie było. Co przepadło, to przepadło. Wynagrodziło się to w ten sposób, że znalazł się na miód i na resztę pozostałego na futorze wosku kupiec, który dał zadatek i zobowiązał się wszystko zabrać, z tem, ażeby mu towar dostawionym został na fury, mające w Łuhu oczekiwać. Umówiwiono się o termin. Panu Maciejowi jarmark poszedł dobrze.

Miód i wosk stanowiły, obok bydła, artykuły handlu wywozowego, które z okolic, będących teatrem opowiadania naszego, szły daleko na Zachód. Nie wywożono nic prawie więcej. Produkcja miejscowa ograniczała się na hodowli pszczół i bydła, a to dlatego, że pszczoły tylko i bydło uchowywać się dawały przed łupieżą tatarską i hodowały się same. Nie potrzeba było uprawiać roli pod kwiaty i trawy. Pasieki stawiano w ukryciu; bydło, w pierwszej jeszcze ćwierci XIX stulecia, w okolicach tamtych latem i zimą pod otwartem pozostawało niebem.

Pan Maciej, po złatwieniu się ze sprzedażą, zajął się kupnem. Kupił najprzód soli, następnie dziegciu, dalej narzędzi niektórych, później igieł i nici, pieprzu, funt rodzenków i trochę imbiru, w końcu łokci kilkanaście ciemnej materji wełnianej jedwabiem przerabianej, płótna cienkiego sztukę, podszewki i potrzeb różnych wchodzących do toalety niewieściej nie nader wybrednej. Kupił jeszcze pierników w kształcie koników z pozłotką na grzywie i ogonie i garnków kilka większych i mniejszych. Poczyniwszy sprawunki te, poszedł zięcia szukać. Nie szukał długo. Udał się wprost do gospody i tam, w izbie szynkowej, znalazł pana Jana za stołem w gronie towarzystwa wesołego.

— Hej, tatku!... — zawołano. Wiwat, tatku kochany!... Prosimy!... Prosimy!...

Robiono miejsce za stołem i zapraszano pana Macieja!

Pan Maciej, sam szlachcic, nie bez tego ażeby do towarzystwa pociągu nie miał; przytem zaś znanem mu było przysłowie: »Wlazłeś między wrony, krakaj jak i one.« Nie dał się prosić wcale. Zasiadł z oznakami ochoty wielkiej; rozsiadł się, chrząknął raz i drugi, tego zapytał o to, owego o owo, podać kazał garniec piwa, kufel wychylił i z przyciskiem na stole postawił. Był to ze strony jego manewr do odwrotu rychłego. Brać szlachecka pogarnęła się ku niemu z przysłowiami i gawędką; on zaś wstał i kapuzy na głowie poprawiać począł.

— Co to?... mosanie!... — odezwał się któryś.

— Ano... Bardzo mi miło w gronie waszmościów i braci...

— Więc!... Kiedy miło!

— Ale... krótki tobie czas, kiedy sprawy masz...

— Oto uciął!... — zawołał któryś. Oto głowa!... — dodał drugi.

Rymowanie sensów uchodziło za praojców naszych za dowód dowcipu wielkiego i, w ważnych niekiedy razach, zastępowało argument poważny. Rym rozstrzygał kwestje najzawilsze. Gdy przeto szlachta usłyszała o uszy jej obijające się »czas i masz«, wnet pozbyła się pretensji, która w niej już rodzić się poczęła. Pan Jan nawet, acz niechętnie, z zastołu się dźwignął, wąsy rozgładził, opończe na sobie poprawił i za teściem poszedł.

Z powrotem konie, tak dla powrotu samego, jako też dla mrozu, szły raźnie. W Łuhu noc zapadła: W lesie pan Maciej lejce im puścił wolno i one same drogi do domu szukały. Zawiozły też wpost na futor, gdzie na jarmarkowych z wieczerzą oczekiwano. Szczekanie psów oznajmiło przybycie ich; jejmoście na spotkanie wyszły; dzieci na mróz wybiegły; witania i okrzyki były takie, jakby się nie widziano rok przynajmniej. Dziś nie masz już powitań podobnych. Zmieniły się czasy i zwyczaje. Jegomość musiał wnet sprawę zdawać z wypadków podróży i ze zdarzeń jarmarkowych; musiał opowiadać, kogo widział, kogo nie widział, co słyszał i co kupił. Co się tego ostatniego tyczy, nie dosyć było powiedzieć, należało pokazać. Więc występować poczęły kolejno na pokaz: sól, pieprz, rodzenki, liście bobkowe, imbir, igły, naparstki, nici etc., etc., aż się ukazała w bibule zawinięta materja.

— A!... — w zdumieniu zawołały głosem jednym pani Maciejowa i pani Janowa.

— Dla jejmość pani Łobodziny... — rzekł szlachic stary.

— Aha!... — odrzekły kobiety.

— Trzeba się jej ogarnąć trochę do Bracławia...

— Panie!... — przemówiła młoda kobieta do jegomości podchodząc i w oczy mu z rozrzewnieniem patrząc.

Stary nie wiedział gdzie oczy swoje podzieć. Oglądał się czegoś około siebie, chrząkał i, jakby nagle coś przypomniał sobie, sięgnął ręką w zanadrze, wydostał ztamtąd pakiecik, rozwinął i jednemu wnuczątku podał jednego konika z piernika, drugiemu drugiego. Postępek ten okazał się potężną we względzie pani Krystyny dywersją. Dzieci wrzawy radosnej narobiły, Pan Maciej zaś, do Michasia się zwracając, w bok się ujął i wesoło zapytał:

— A co?... A widzisz!... Masz konia!... Siadajże na konia, trzymaj się ogona...

— Co za grzywa!... co za ogon!...— wykrzykiwały dzieci zachwycone. Co za koniki śliczne!...

Jak minęły czasy potęgi rymów, jak minęły czasy serdeczności powitań po powrocie z miasteczka poblizkiego, tak minęły czasy zachwytów dziecinnych z powodu koników z piernika. Tego ostatniego szkoda, zaprawdę. Dzieci tegoczesne mają zabawek i łakoci zbytek, przesycają się prędko i nasiąkają pragnieniem zbytków, pozostającem na później i doprowadzającem do następstw nie wesołych. We względzie tym czasy dawne były bezwarunkowo lepsze od dzisieszych. Wypadałoby, ażeby pedagogowie uwagę na to zwrócili i powstrzymali na pochyłości tej rodziców, bogatych zwłaszcza. Oglądaliśmy niedawno na wystawie pewnej sklepowej lalkę, której cena oznaczoną była na franków *pięć tysięcy!* Czy to nie zgroza! Z pewnością to dziecko co ową lalkę posiadło, nie ucieszyło się nią tak, jak konikami z piernika wnuczęta pana Macieja, które przez wieczór cały prababce, babce, matce, dziadkowi, ojcu, wujowi, a nawet i pani Krystynie chwilki spokoju nie dawały. Stało się to, jak rzekliśmy wyżej, dywersją potężną. Dywersja ta trwała tak długo, aż dzieci się pospały. A gdy się pospały dzieci, udali się na spoczynek i starsi.

Nazajutrz obie panie Małuskie, pani Okiniczowa i pani Łobodzina zagaiły naradę walną nad użytkiem. jaki się ma z materji zrobić. Rzecz naturalna, przeznaczenie jej samo wskazało użytek, zachodziło jednak *ale* niejedno. Miała to być suknia, na to zgoda była powszechna, ale: jakim kształtem? jakim krojem? z klinami czy bez klinów? z falbaną czy bez falbany? — a rękawy? a bufy?... a!... Pani Janowa znała się na tem najlepiej

niby: więc też ona najwięcej gadała, podając racje niezbite, które sama następnie zbijała. Zdanie pani Krystyny powinno było być rozstrzygającem, ta atoli nie rozstrzygała wcale; czując się jakby zmieszaną, jakby upokorzoną, poruszoną, na nic się zdecydować nie umiała, wszystko za dobre uznawała i koniec końcem nic nie orzekła. Przy pani Okiniczowej pozostało zwycięztwo w sporze z matką i babką. Ona powiedziała, jak co ma być, rozmiarkowała, miarę wzięła i powiedziawszy pani Prokopowej »niechże pani zdrowa nosi«, do krajania przystąpiła. Pokrajała, wnet jednak na myśl jej przyszło, że mogła pokrajać inaczej. Stało się wszakże! Pozostawał wprawdzie sposób zszycia materji i krajania jej na nowo, w takim atoli razie szew jeden wypadłby tam gdzie szew żaden być nie powinien.

— Niech już tak zostanie... — rzekła pani Janowa niechętnie trochę. — Ja temu nie winna... Dzieci wrzeszczały i zabałamuciły mnie... Och! te dzieciska!..

Dzieci nie wrzeszczały wcale a na cześć koników z piernika okrzyki radosne wydawały; właśnie bowiem przebudziły się tylko co i naturalnie myśl ich najpierwsza ku gościńcom z jarmarku czeczelnickiego się zwróciła.

Rozpoczęło się szycie, które zajęło szczególnie panią Krystynę. Jejmoście pomagały jej jeno, o ile im na to czas pozwalał; zasiadały jednak więcej dla gawędki, aniżeli dla pomagania, starościanka bowiem, wprawiona w pałacu wojewodziny na komeszkach, zasłonach, szyła dobrze i biegle i bez pomocy obejść się mogła. Gawędka więc główną tu odgrywała rolę. Przedmiot do takowej czerpały jejmoście w dworach pańskich, o których ze słyszenia wiedziały. Starały się przeto dowiedzieć czegoś więcej od kobiety, która znała dwór taki jak Jabłonowskiej, z domu Kazanowskiej, to jest z domu, o którego przepychu krążyły rozpowiadania, niby o cudach nocy arabskich. — »Czy to prawda?« — zapytywały co chwila.

— Czy to prawda, że u Kazanowskiego w komnacie gościnnej stała beczka srebrna, ze złotemi obręczami, winem zawsze zapełniona?...

— Nie wiem... słyszałam o tem... — była odpowiedź starościanki.

— Czy to prawda, że u Kazanowskiego w komnacie gościnnej, biła ustawicznie fontanna z wina.. kto chciał, czerpał i pił?...

— Słyszałam o tem...

— Więc prawdą to być musi...

— O tak... Temu nie zaprzecza wojewodzina sama...

— Czemuż ona tego samego u siebie nie zaprowadziła?...

— Nie wiem... dla tego może, że jest bardzo nabożna...

— A!... — podchwyciła pani Janowa— wyrzeka się przepychu i próżności... jada zapewne na talerzach cynowych?...

— Nie... na srebrnych.

— Jeżeli jada na talerzach srebrnych, to na cóż beczkę srebrną wyrzuciła!... Tego to już nie rozumiem!... Gdybym ja bogatą była, to miałabym i beczki i fontanny i wszystko!... — tarabaniła jejmość.— O, miałabym wszystko!... Umiałabym pieniędzy użyć... Tego tylko nie pojmuję — dodała — zkąd panowie tyle pieniędzy biorą?... Boć nie z pracy przecie?...

Rozpytywała o wojewodziny zatrudnienia, sposób życia, praktyki religijne, a gdy się o biczowaniu dowiedziała, podchwyciła:

— To ona, biedaczka, za czyjeś pokutuje grzechy... Musi na bogactwach jej błyszczeć łza niejedna...

Rozmowy te i tym podobne urozmaicały szycie, które też postępowało szybko, pomimo że pośpiech potrzebnym nie był. Jegomość do Bracławia jechać natychmiast po powrocie z Czeczelnika nie mógł, mając miód do dostawienia. Dostawa, luboć w dokonywaniu onej pomagali mu i syn i zięć, zabrała jednak dni kilka. Należało się z nią spieszyć, korzystając z pory sposobnej, tem bardziej, że do wożenia półbeczków jedne tylko nadawały się sanie. Z ciężarem droga przez las była trudna i nie zawsze się udawało obrócić dwa razy. Z szyciem przeto śpieszyć się nie było co; że jednak się przyspieszyło, złe ztąd nie wynikło żadne. Pani Krystyna wcześniej o dni parę miała suknię nową, swoję własną nareszcie, chodziła bowiem dotychczas w odzieży pożyczanej. Z płótna przez pana Macieja kupionego, uszyła sobie bieliznę. I suknia i bielizna — jakże one skromne były w porównaniu z temi, jakie dawniej nosiła! Nie wydawało się jednak, ażeby ją to obchodzić miało bardzo. Owszem, okazywała zadowolenie o tyle wielkie, o ile przytłaczający ją smutek na objawy onego pozwalał.

Pani Krystynie nie wesoło dla dwóch było powodów. Do dawnego przybył nowy, stawający pod postacią obawy. Stanąć miała wobec ojca, przedstawiającego się jej w tym razie jako sędzia. Ze strony jego zagrażał jej wyrok, którego ona przewidzieć nie mogła. Będzie li on karzącym? będzie li przebaczającym? Wyrok się ważył pomiędzy dwiema temi ostatecznościami, z których młoda kobieta wyprowadzić usiłowała wydobycie Prokopa z niewoli tatarskiej. Gotową była karę ponieść najsurowszą, byle Prokopa napowrót dostać. Niepewność atoli dręczyła ją i potęgowała jej smutek, który rozwielmożyć się nie mógł, dzięki jedynie gwarowi ustawicznemu, jaki otaczał ją w tym ulu człowieczym, jakim była chata pana Macieja.

Nareszcie pan Maciej półbeczki dostawił. Wnet jął się szykować do podróży, która nietylko w jednym dniu tam i napowrót odbyć się nie mogła, ale do zajechania tam tylko czasu dni dwóch wymagała. Futor od Bracławia oddzielała przestrzeń wynosząca mil dziesięć z okładem. Mil dziesięciu jednemi i temiż samemi końmi nie ujeżdża się w dniu jednym, w razie chyba, gdy jadącego popędza strach albo warjacja. W razie przeciwnym nocować potrzeba. Że zaś pan Maciej ani strachowi, ani warjacji nie podlegał, wybierał się przeto, obliczając czas w sposób następujący:

— Dwa dni tam, dwa z powrotem, to cztery... Dni dwa, trzy zatrzymam się w Bracławiu, więc *summa facit*, wypadnie tydzień cały za domem zabawić...

— Stosownie do obrachowania tego przysposobienia czynił, odnosząc takowe tak do długości mety, jakoteż do innych względów, dotyczących podróży zimowej. Wilki, naprzykład; nie mówiło się o nich, miało się je jednak na uwadze, około Gromnicznej zwłaszcza, i przedsiębrało się przeciwko nim środki ostrożności. Więc przy pomocy Jurka, wybierającego się z ojcem, sanie opatrzył i związał je mocno; z boków pododawał skrzydła zabezpieczające od wywrotu; do środka włożył obroku w przewidywaniu braku onego na drodze i drożyzny w Bracławiu; wyścielił je sianem i oznajmił z wieczora na futorze:

— Jutro, jeżeli Pan Bóg doczekać da i zadymki nie będzie...

Pani Krystyna noc całą na modlitwie spędziła.

Nazajutrz jednak wyruszenie w podróż okazało się niemożliwem. Trafiła się zadymka właśnie. W lesie czuć się nie dawała, lecz pan Maciej po niebie zmiarkował, co to się dziać musi w polu. Odłożono wyjazd do dnia następnego, co na dobre dla młodej kobiety się obróciło, albowiem znękana bezsennicą nocy poprzedniej, zasnęła z wieczora twardo i wyspała się należycie.

Wyprawiano ją, jak dziecko rodzone. Miała już ona suknię własną i bieliznę; ale w sukni jeno jechaćby nie mogła, każda więc z jejmości zdjęła coś z siebie i na nią włożyła; pani Maciejowa dała jej szubę lisią, którą jegomość miał odwieść; okutano ją chustkami, tak, że jej trochę jeno oczy wyglądały, obwiązano, a żegnano, a ściskano, a błogosławiono.

— Niechże cię Bóg prowadzi i czuwa nad tobą... — mówiła pani Maciejowa.

— Niech imćpanią aniołowie święci strzegą... — powiadała pani Janowa.

— Pamiętaj o nas... — dodawała staruszka — i jeżeliby, nie daj Boże czego... to tyś nam od Boga dana i futor dla ciebie zawsze otworem stoi...

— Nie daj-że Boże!... — zawołały razem pani Maciejowa i pani Janowa.

— I ja powiadam: nie daj Boże!...— odparła staruszka. Niech ona raczej zapomni o nas w szczęściu i w pomyślności...

Młoda kobieta rzewnie a serdecznie płakała.

— Nie płacz jeno pod wiatr... — strofowała ją pani Małuska.

Siadła do sanek, opierając nogi o garnek z kaszą jaglaną świeżo ugotowaną, uważaną przez praojców naszych jako prezerwatywa przeciwko zziębnięciu. Obok niej usadowił się jegomość w wilczurze. Z przodu usiadł Jurek, ujmując w ręce lejce i batog. Jegomość drogę przeżegnał, Jurek na konie cmoknął — wio!... ruszyli. Sanie na podwórku odrazu w zatokę poszły, lecz wnet dalej posunęły równo. Za podróżnymi, niby z rogu obfitości, posypały się wyrazy życzeń i błogosławieństw i ścigały ich tak długo, póki z oczów nie zniknęli.

Droga, z racji zadymki wczorajszej,

*

była zrazu kopna, nie tylko w lesie, ale i na trakcie. Dojeżdżając jednak do Rudnickich futorów, poprawiła się i całe była nie złą do Żabokrzycza. Tam wypadł im popas pierwszy. Ztamtąd na noc do Kapuścian, z Kapuścian na popas do Tulczyna, z Tulczyna na noc do Bracławia. Żabokrzycz, Kapuściany i wsi wiele, zapełniających obecnie żyzną tę okolicę, istniały w czasie owym, bądź w stanie projektów na osady, bądź też osad zburzonych i odbudowywać się kiedyś mających. Człek w stronach tych obcy, jadąc drogą, przysiągłby, że przejeżdża przez krainę pustą. Jegomość jednak umiał z drogi zjechać i do gościnnych zakołatać drzwi. W sposób ten odbył w dniu pierwszym popas i nocleg, gościnnie przyjmowany i wyprawiany. W Tulczynie dopiero uciekać się musiał do gościnności płatnej i... co też się naszukał! Miasteczko zajmowało wojsko; zajazdy wszystkie napełnione były końmi i żołnierstwem. Żołnierstwo snuło się po ulicach, przechodziło mimo sanek, na których siedziała starościanka i w oczy jej zaglądało, co gniewało mocno Jurka. Ledwie nie ledwie jegomość, chodząc od domu do domu, znalazł przytulisko chwilowe. W Bracławiu szukanie powtórzyło się, z tym dodatkiem, że wypadło w nocy, więcej przeto jeszcze trudów panu Maciejowi napędziło. Tam w zajazdach miejsca nie było wcale. Podróżni nasi wprosili się na przedmieściu do rzemieślnika fachu krupniczego, który miał za chałupą szopę, a w chałupie izb dwie i zażądał po dwa złote za dobę od koni i ludzi razem. Trzeba było zapłacić, inaczej bowiem nie pozostawało, jak pod gołem niebem na mrozie noc spędzić.

Podróż cała obeszła się bez godnego zanotowania wypadku, tak, że do zanotowania jest tylko troskliwość, z jaką Jurek nad panią Krystyną czuwał. Ani małżonek żaden, ani brat, ani ojciec, ani kochanek nawet troskliwszym by być nie mógł i nie potrafił. Z sani nigdy ona nie wysiadała o własnej mocy — on ją brał na ręce i znosił. Tak samo odnosił ją na sanie. A pielęgnował, a okrywał, ażeby jej, broń Boże! nie zawiało. To jedno tylko jest do zanotowania z podróży całej — zresztą nic.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

STUDJA ESTETYCZNE

przez

Wojciecha Dzieduszyckiego.

SZTUKA NADREŃSKA.

(Ciąg dalszy.)

Wiek trzynasty był w sztuce wiekiem niepewnym, a może i niepięknym. Malarstwo i rzeźbiarstwo, rzucając wyrobioną niegdyś bizantyńską tradycję, szukało nieudolnie za życiem i tworzyło karykatury dla nas ohydne, a budownictwo padło w nieorganiczny chaos, widoczny we Włoszech w Syenie a nad Renem w Strasburgu. A że ten chaos nie zadowalniał pokoleń, i że był tylko wynikiem tego, że szukano a nie znaleziono jeszcze, tego najlepszym dowodem, powstałe niebawem katedry w Kolonji i Florencji, arcywzory niemieckiego i włoskiego gotycyzmu — dwa konsekwentne a zupełnie różne od siebie wyrazy ducha dwu narodów. Niemiecki tum zaczęty o kilkadziesiąt lat przed włoskim, podobnie jak tamten dotądjeszcze niedokończony. Ale możemy sobie już wyobrazić jak będzie wyglądać kiedyś, i jak wyszedł z myśli czternastego stulecia, takim go opiszemy.

Choć Niemcy wlewali w swoje budowy właściwego sobie ducha, pożyczali zawsze materjału u obcych, a najczęściej u ościennych. I teraz nastąpiły francuskie wpływy po bizantyńskich i Italskich, i zmięszały się nadzwyczaj szczęśliwie z motywami wyrobionemi w Niemczech podczas tak niepewnego tu w budownictwie trzynastego wieku. Gzymsy, floresy i łuki przeniesione do Kolonji żywcem ze Strassburga i Bambergu, ale ułożono je w szczęśliwą całość idąc w wielkiej mierze za wskazówkami francuskiemi. Tylko że kościół tu i większy, konsekwentniejszy i okazalszy od kościołów francuskich, choć jest prawie o połowę mniejszy od katedry florentyńskiej.

I tu gmach powstał w znak krzyża świętego, ale kopuły nad sercem krzyża niema, chór nie wywyższony nad poziom naw i nieodgraniczony od nich, a wielki ołtarz skryty w głębi katedry. Nawa i chór są równej prawie długości, a tylko boczne ramiona są krótsze, a kościół tak wysoki, że wysokość jego równa się prawie jego długości, i czyni gmach cały wysokim. Fasada tu stoi w związku z kościołem, ale znika prawie, tak ją ścisnęły dwie olbrzymie szpiczaste wieże, którym odpowiada trzecia mniejsza wieża nad sercem krzyża. Wreszcie rój koronkowych przypornic czyni zewnętrzną stronę kościoła zupełnie niejasną.

Z tyłu z boków wygląda gmach ten jakby olbrzymi pająk. Z roju małych, wiotkich, szpiczastych wieżyczek wychodzą półłuki dzierzgane a dżiorno jakby najcieńsze brabanckie koronki. Chciano przewyższyć Strassburg, i przewyższono go niezawodnie. Żadna niewieścia robótka niezrówna się z tym rzezanym lasem wieżyczek i przepornic, i nigdy kamień nie był tak lekkim i nieziemskim i lotnym. Każda wieżyczka z osobna to cud lotnej swobody, i wdzięcznej bujności, każda z nich na pozór pozbawiona siły wszelkiej, a że ilość tylko olbrzymia może tu uczynić zadość technicznym wymaganiom, więc indywidualność gzymsików i wieżyczek znika i oko niespokojne chodzi po niezrozumiałych szczegółikach, i póki wnętrza kościoła niepozna, sądzi, że wszystkie te ozdoby zawdzięczają swój początek barbarzyńskiej chęci popisu snycerza. A jednak bez nich nie ostałby się ten gmach tak smukły i wysoki jak żaden gmach na świecie. Przypornic potrzeba było koniecznie. Włoch byłby postawił przypornic kilka wyraźnych i potężnych w zlotności swojej — Niemiec nie dbał o indywidualne życie wieżyc i łuków, a lubował się w misterności swego kunsztu. Zakrył tedy kościół cały taką tkanką z szarego kamienia, że w niej nie poznasz ni formy gmachu ni ładu szczegółów, i że trzeźwiejszy Francuz nazwie ten sposób postępowania z kamieniem, stylem *flamboyant*.

Wśród tej pajęczyny dźwigają się jednak i ciężkie masy. Tam gdzie się krótkie ramiona krzyża kończą, tam widać dwie wąskie a wysokie fasady — na fasady zbyt wąskie, na wieże zbyt szerokie, a przeto ciężkie i niezgrabne. W nich u dołu rozwarte w szeroki ostrołuk imponujące drzwi, zdobne tłumem ulatujących aniołów. Nad drzwiami okno krągłe pełne promieniejącej dzierzganiny, a nad oknem nielitościwy ciężki przyczółek ucieka wysoko do góry, wydziera się z pośrodka przypornic, chciałby ulecieć do nieba, ale niemoże, tworząc tylko wysoki, wąski, martwy trójkąt. Ten trójkąt daje miarę nielitościwego dachu, góry gątów piętrzącej się nad koronkami do wysokości trzystu stóp, masy ciemnej, wąskiej, spiczastej, a dążącej bez tchu i z mozołem do góry.

I to samo widać u głównego wchodu, ale tu zamiast przypornic, stoi coś co się naprawdę wyrwało do nieba i ziemską ciężkość pokonało. Dwie wieże, istne cuda, gonią po obydwu stronach portalu w błękit i w nieskończoność, pionowemi linjami, porywając z sobą i wzrok i duszę widza, jakby dwa duchowne archanioły. Niemasz w nich miary, nie masz idealnego piękna, nie masz pokoju kolumn Partenonu. Ale one zawładną tobą, porwą ciebie, wstrząsną tobą do dna. Każda z tych wież u dołu masywna i kwadratowa, ma dwie stron zwróconych na zewnątrz tylko, a w każdej stronie jedno wielkie, spokojne gotyckie okno, tworzące łuk potężny wsparty o potężne filary. Tu moc żyje w pełni. Na pierwszem piętrze już każda wieża, węższa trochę, i tu dwa mniejsze okna wsparte o gzyms, widoczne wszędzie dokoła. Bo wieża tu wyrosła już z gmachu, i buja swobodnie, dumna z ośmiu ostrołuków i ośmiu filarów. W następnym piętrze znów tylko jedno, a nad niem dwa okna widać. Wieża ciągle się zwęża w istocie, a dla oka zwęża się bardziej jeszcze, w miarę jak ponad dach wyrasta. Rytmicznie w dwu taktach wybiegła w niebo i wybujała świątecznie, a dzierzganie wzlotne w oknach, i oko twoje, i duszę, porwały już daleko od ziemi, aż gdzieś tam, gdzie jaskółka tylko lata ponad duchy ludzkie i kościelne, gdzieś swobodniejszy i bliższy Boga. Ale niedość tej jasnej i potężnej budowie, że doszła tam, gdzie się spokojnie modlić może. Pragnie dojść do rzeczy niepodobnych, i goni coraz dalej, już mniej jasna, już mniej rytmiczna, tworząc klin ogromny, przezroczysty, dzierzgany, niemożliwy, w którym cudem tylko utrzymują się kamienie nad otchłaniami błękitów. I wieże coraz węższe wznoszą się w nieskończoność, aż nareszcie nikną wśród błękitów. Zaszły do miary możliwości i nie znalazły pokoju. Zuchwale wraz z duszą twoją pogoniły do góry, oderwały od ziemi i nie spoczęły. Nie znalazłeś końca tęsknoty i dalej myślą gonisz w nieskończoność, i zwisłeś w pół drodze do nieba i bujasz do góry, i chciałbyś być ptakiem, i tęsknisz i marzysz niespokojny i niezadowolniony, jak asceta któremu ziemia zbrzydła, i który niedoszedł do nieba. A jednak dobrze ci żeś się oderwał od prochu — żeś się wzniósł jak ptak i żeś zwyciężył ciało.

I wnętrze katedry to takie wielkie, tęskne, cudowne westchnienie, przybytek niepojętym sposobem dla lotu zbudowany. Wnętrze to dopiero wyrzekło myśl całą narodu i mistrza.

Kościół ma wzdłuż pięć naw, a w szerz trzy nawy. W nawach bocznych przebywa jakiś klasyczny duch. Jesteś tu niby w jednym z borów północy, tak ciemno tu, i tak tu pełno tajemniczego życia. Ale i kolumnady klasycznych

świątyń budzą się w twojej pamięci. Podwójny rząd filarów gotyckich cię otoczył, i plastyczne, potężne, idealne życie powstało tu po raz pierwszy, na północy. Filar dwakroć tak wielki jak kolumny Partenonu, wyrasta wprost z posadzki fantastyczną łodygą, pełną kątów i rogów olbrzymich. U szczytu szarego groźnego filaru, spoczął wieniec dębowy, a na tej głównicy sparty łuk o trójkątnych polach, szeroki, możny i spokojny. Znalazła się tu miara, i groza stara i życie, i przybywasz jak ongi wśród potężnych duchów, i sklepienie daje ci spokój u góry. Byłoć w Doryckiej świątyni większe życie, i lik był tam i ład bardziej boski, bo tu nie przeliczysz tłumu filarów; ale i tu jest życie i ład, a wśród cieniów tych wieje wielki wiatr z borów północy pełen tajemnicy. Tu skupisz ducha by wejść do wielkiej nawy.

A w wielkiej nawie nie masz już wzmianki o dawnym ładzie, o architektonicznym rozumie i starym ideale. Nie masz tu kolumn duchów, z któremi byś współczuwał; jest tylko przybytek fantastyczny stawiany pewno przez rusałki, i wielkie niespokojne westchnienie z kamienia, co się porwało do nieba wbrew prawom ciężkości.

Filary co odgraniczają boczne nawy, i spokojne łuki dźwigają, tworzą tylko, że tak powiem, podwałę kościoła. Powyżej wcale inna budowa. Filary tu wzrastają jakby w niezmiernie cienkie wieżyce, jakby w gotyckie strzały pędzące do nieba, w bezcielesne prawie, bezsilne, nieskończenie długie westchnienia kamienne. Przedzielone dwiema głownicami z liści dębowych, a połączone z sobą balustradą, co się tuż nad pierwszymi łukami ciągnie, nie mają osobistego życia, ani osobistej wartości, stały się tylko gotyckiemi filogronami, pośród których jaśnieją barwami przesiąkniętemi słońcem, okna wązkie a wysokie nad wszelką miarę Nie masz tu istot kamiennych, nie masz i śladu miary, niemasz celu kamiennej tęsknoty, i wszystkie te goniące w górę linje schodzą się prawie u szczytu. Nie znajdziesz w tej głównej nawie spokoju sklepień, bo choć ostrołuk sufitu ma aż czterdzieści stóp przecięcia, znika, bo zawisł zbyt wysoko. Tu tylko wszystko porwało się szalenie ku Bogu, przyobleczone w mglistych barw purpurę.

Kamienia siła znikła zupełnie. On tylko daje ramy, on tylko kreśli modlitewne niespokojne linje. Gdy pomyślisz, że to sklepienie nad głową, błękitne, o gwiazdach złocistych z kamienia, dziwisz się jak owe włókna, co są niby kolumnami gotyku, mogą to sklepienie udźwignąć. Okna barwne zakrywają przypornice, i niemasz tu na wewnątz innego tłumaczenia nad cud albo czar. I światło zaczarowane płynie przez okna, a oko twoje wciąż patrzy w górę i widzi świat zbudowany cudem, nie z kamienia, jeno z barwy.

Świat klasyczny chciał zrozumieć wyższą treść rzeczywistości i stworzył ideał. Północ rzeczywitości śnieżnej ukochać nie mogła. Odwróciła się tedy od niej i stworzyła fantastyczność. Świat fantastyczny, jest to świat dowolnie przez człowieka stworzony, a różny od świata bożego, i nie będący światem ideału. Twór fantastyczny jest to twór, powstały tylko w wyobraźni ludzkiej, a różny od wszelkich istniejących tworów. Twórczość wolnej wyobraźni, zbliża tedy człowieka do Boga tem, że za jej pomocą i człowiek tworzy samodzielnie, choć samodzielność ta ogranicza się na dowolnem kombinowaniu rzeczy w innym związku widzianych na świecie rzeczywistym. Tak człowiek stworzy fantastycznego smoka gdy złączy ciało jaszczurki ze skrzydłami nietoperza, i gdy każe ogniem ziać owemu tworowi. Fantastycznem jest drzewo mówiące, fantastyczną sfinga klasyczna, fantastycznemi mogą być wreszcie i rysy ludzkie z lekka przez rysownika przeistoczone.

Twórczość ta nie tylko jest mniej samodzielną od twórczości boskiej. Jest także mniej potężną, bo nie tworzy najczęściej istoty, jeno pojęcie jej, albo podobieństwo. Pojęciem, opowieścią tylko bywa w poezji, podobieństwem w rzeźbie i malarstwie, w jednem tylko budownictwie i w muzyce rzeczywistością prawie. I dlatego to w fantastycznej niemieckiej sztuce wzięły tak widocznie górę budownictwo i muzyka.

Kto rzecz jaką fantastyczną, a nadewszystko gmach fantastyczny tworzy, ten się do pewnego stopnia równa z bogiem, a i cały rodzaj ludzki ucieszy się poznanem dziełem, bo jest pokryjomu łączność między ludźmi, która czyni, że dzieło jednego podziwiają i inni radośnie, jakby to ich było dziełem. A kto wejdzie do katedry kolońskiej, ten ogląda twór prawdziwy, a na pozór całkiem fantastyczny, bo zbudowany na przekor prawom mechaniki i statyki, trwającym nieświadomie w umyśle każdego człowieka.

Źródło estetycznego używania jest tedy czysto romantyczne, przeciw klasycznemu pięknu wynikającemu ze zrozumienia jasnego praw natury. Twórczość romantyczna jest tedy jaskrawem zwycięstwem ducha ludzkiego, dla wszystkich ludzi miłem i radośnem. Nieśmiało stawiała pierwsze kroki w Spirze, zjawiła się w pełni już w Kolonji, i pokazuje tu widzowi świat tak dziwnie nowy, że tem zaprząta umysł jego na długo.

Ale romantyczna fantazja panowała już we Włoszech w Syenie, panowała w Strassburgu i Moguncji, i nigdzie nie wywołała tak potężnego wrażenia, jak tu w Kolonji. Poczęści to dla tego, że Syena naprzykład wyobraża jakiś świat dziwny, a Kolonja jest cudem ze szkła, głazu i barwy. Ale głównie dlatego, że w Kolonji uszanowano inne warunki piękna. Gdyby te sklepienia ciężyły widzowi, byłoby mu niemiło, tu ulatniają się prawie zuchwale. Gdyby nikt nie mógł przejrzyć planu budowy, znużyłby się wnet umysł i odwrócił przesycony, a tu matematyka jasna panuje podobnie jak w gmachach klasycznych. Gdyby tu mieszkały ciemności, i gdyby linje przypominały cierpienie, wzięłaby cię, jak w Moguncji, trwoga okropna. Tu wszystko wzlatuje wśród światła do Boga wraz z tobą. Nie widzisz spokojnych linji, coby mówiły o osiągniętym już celu; nie otoczyły cię wyższe istoty z głazu do bogów podobne, ale dusza twoja uleciała w nieskończoność, i myślisz, że zaleci kiedyś aż do wszechmocy i wszechmiłości, że się coraz bardziej do nich zbliża.

Tu germańska architektura dosięgła szczytu. Zostawiła już później dwa tylko dzieła wymagające wzmianki, i oba te dzieła stanęły daleko od Renu. Mam tu na myśli świętego Szczepana w Wiedniu, i aż w Medjolanie postawioną, marmurową katedrę. Medjolańska dawniejsza, o niej tedy najpierw mówić wypada.

Katedrę lombardzką dźwignął u przełomu 14. i 15. wieku budowniczy Niemiec, Jan z Ulmacji. Przewiózł tedy do Włoch żywcem tradycję niemiecką, nie umiał jej jednak obronić od wpływów klimatu i otoczenia. Jan Galeazzo Visconti, pan Medjolanu, chciał mieć kościół większy i świetniejszy od gmachów pogańskiego Rzymu, i gmach powstał z białego marmuru, a zakrył wszerz i wzdłuż tak wielką przestrzeń, że lubo bardzo wysoki, nie przeważą w nim linje pionowe, podobnie jak w Kolonji; a że tu śniegi nie leżą na dachach przez pół roku, więc obeszło się bez dachu wysokiego, i kościół oddał wiernie na zewnątrz kształty swe wewnętrzne w sposób miły racjonalnemu Włochowi. Przez to samo wstąpił w zakres klasycznej plastyki i chciał być ścisłą, nagą, osobistą jednością. Nie zniósł tedy osobnych wież i osobnego chóru, odkrył fasadę szeroką, postawił ołtarz wielki w sercu krzyża i lubą lekką kopułę nad ołtarzem. Ilość przypornic zmniejszyła się tak, że możesz wszystkie okiem obejrzeć, choć ich przeliczyć nie możesz, i nie masz ani jednego ciężkiego szczegółu na lekkim gmachu.

Na zewnątrz widzisz tedy wyraźnie krzyż łaciński, przed którym stanęła późno klasyczna fasada, nad którym płaski dach łamie się włoskim trybem na dwa piętra i środkową kopułę. Tylko okna, większe jak zwykle we Włoszech, stanęły gęsto, przerabiając mury naw na długie rzędy arkad, spartych o silne i osobiste gotyckie filary. Tylko mnóstwo posągów zwisło przy filarach w gotyckich kapliczkach, obarczając niepotrzebnie gmach, ale strojąc go w plastykę południa. Tylko rój wieżyczek i przypornic haftowanych wieńczy płaski marmurowy dach.

Na wewnątrz masz pięć naw, podobnie jak w Kolonji, tylko że tu środkowa nawa nie tak bardzo wybujała w górę i że przeto gmach wygląda jak gmach z kamienia, że malowane światło pada wszędzie na filary i że w sklepieniach jest przecie choć trochę pokoju. Filary gotyckie wyrastają dalej po nad sufit, ale o tem na wewnątrz nikt nie wie. Jest tu pokój, śmiało modlitewny. Miary nie masz, filarów nie zliczysz, widzisz wianki kaplic, które przerywają ich ład tworząc ciężkie głownice, widzisz, że sklepienie bez siły, bo dzierzgane całe w liście z marmuru, albo przynajmniej udaje, że dzierżgane, widzisz niezliczony naród posągów barocco, łamiących i ład linij i wzniosłość modlitwy, a jednak wieje na ciebie wśród krużganków ciemnych modlitewna tęsknota północy, patrzy na cię z pośród filarów siła i groza klasycznego południa.

Każdy filar kościoła zamienia się na zewnątrz w smukłą, lotną wieżycę, o szpiczastym szczycie. Jest tu tedy sześć rzędów, białych wieżyc, goniących lotnie do nieba, a połączonych między sobą w wysokości środkowego sklepienia wzlotnemi mostkami przypornic. Na wieżach żyją posągi, na przypornicach rosną rośliny z marmuru. Nad główną nawą ciągnie się płaski dach, jaśniejący w słońcu a wiodący do kopuły. Wieżyczki środkowe tylko tuż przy kopule wysyłają do niej przypornice, a mała wieżyczka, co z kopuły wychodzi, tworzy środek i najwyższy punkt gmachu. Z daleka leci cały kościół do nieba, skrzydlaty, weselny w obliczu Alp, ale nie goni tak niespokojnie, jak katedra kolońska jedno raduje się w Bogu, śpiewając hymn, jakby, chórem wdzięcznych, dziecinnych głosów. A gdy chodzisz po wielkiej, słonecznej, środkowej przestrzeni dachu, radujesz się sam mnogim cudem wzlotnych iglic, co wdzięcznie bujają w

koło ciebie, jakby naród aniołków strojnych. Tu wdzięk iglicy i lotność przypornicy przystępne, tu wystąpiły jasno w klasycznej nagości Italii. Słońcem przemieniona fantazja gotycka.

Święty Szczepan w Wiedniu przeciwnie, prawym synem północy. Z daleka nie widzisz nic nad ciężki dach i wieżę, a gdy wrócisz z Włoch, dziwisz się, że to kościół tak mały.

Wieża, jedna z najwyższych na świecie, stanęła przy boku kościoła, nie złączona z nim, samodzielna zupełnie. Jest to ogromna, ciężka masa kamienia, co się zwęża przez pięćset stóp wciąż. Stanęła na szerokiej czworobocznej podstawie, a kończy się ostrym szpicem. Cięży ziemi. Tylko kilka gotyckich okien rozwarła w masie swojej i wygląda z bliska jak olbrzym pancerny, ciemny, ponury, co chce rogiem dziurę uczynić w niebie. Moc tu jest i życie osobiste, ale nieidealne i nieujęte miarą, i samotne a fantastyczne. Bo ten olbrzym się przystroił w dziwne szaty mnogich trójkątów i sztachet kamiennych. Zabłądzisz, pnąc się wzrokiem do góry, wśród roju szczegółów; czasem przyklaśniesz matematyce linji, czasem się zlękniesz jakiejś kamiennej poczwary. I długo będziesz się patrzył w niemym podziwie; czasem się zlękniesz olbrzyma, częściej przypomnisz sobie dziecinną bajkę, patrząc na ostatniego syna północnej fantazji, zrodzonego już u schyłku piętnastego wieku.

Bok kościoła przy wieży, ujęty w ład niezwykły północy. Jest cztery wielkich okien i cztery wielkich trójkątów z koronki kamiennej nad oknami; misterne one, a osobiste; mistyczne, a trzeźwe i piękne. One najdoskonalszym na świecie wyrazem północnej ornamentyki, o sto lat wcześniejszym od wieży.

Fasada nie wiedzieć kiedy powstała, nie wiedzieć do czego podobna, patrzy na cię kolosalną bramą o krągłem sklepieniu i jednostajnym murem, i samotnem gotyckiem oknem i narodem poczwar kamiennych, jakby zaklęcie olbrzymie, jakby wiekuista zagadka. A na wewnątrz dwa osobne powitasz gmachy, czy nawet cztery gmachów. Najprzód masz czworograniaste mieszkanie przestrachu, niby pusty loch. Nie wiesz, czy to ośm kolumn, czy ośm filarów stanęło śród zmroku, po cztery w każdym rzędzie, dzieląc trzy równe sobie nawy. Nie mają głownic i zrastają się z sufitem, i nie mają nad sobą sklepienia, jeno wzdymają się u góry i spotykają się z sobą w krzywych linjach niespokojne.

Dalej, za nawami, trzy chóry, zupełnie odłączone od siebie, trzeźwe, a tak popsute przez barokizm, że myśl pięknych filarów i łuków zagubiona. Wielki ołtarz stanął w głębi środkowego chóru.

Gotycyzm tu nie budował już w krzyż, nie wzlatał do nieba, nie używał przypornic, stracił dawny ideał, nowego nie znalazł, i musiał umrzeć, u początku szesnastego wieku, gdy ten kościół przestano budować. Nowej myśli nie znalazły już Niemcy i naśladowały już tylko odtąd nieździarnie włoskie odrodzenie i włoski barokizm, a zwłaszcza ten ostatni, tu w Niemczech, i cięższy i dziwaczniejszy, jak we Włoszech.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NIEDZIELA W ANGLJI.

(Dokończenie.)

II.

Taką jest niedziela w Anglji. Człowiek więc, który przez cały tydzień ugania się za kawałkiem chleba, nie ma prawa użyć niedzieli stosownie do swego uznania. Po pracy siedmiodniodniowej nie wolno mu się w przyzwoity sposób zabawić. Wyższa klasa społeczna nie jest bynajmniej usposobiona do zajęć umysłowych, a popularne odczyty, które tak wszędzie są rozpowszechnione i tak błogie wydają owoce, są w Anglji również za „disorderly“ uważane. Nie podobna, aby tego rodzaju przewrotności nie oburzyły człowieka przyjaźnie usposobionego dla ludzkości, a przewidzianym jest faktem, że podobne anachronizmy społeczne muszą w swoim czasie nieuniknienie wywołać gorzką zemstę. Jest istotnie rzeczą niepojętą, dlaczego właściwie dotąd tych praw niedzielnych nie zniesiono.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o próbach jakich się dopuszczali, chcąc uniknąć ich przykrych następstw, różni przedsiębiorcy w Manchester. Ponieważ wejście płatne dozwolonem jest w miejscach gdzie się odbywają „religijne praktyki“, przeto zarządzający lokalami publicznymi, kazali sobie wydać licencje na odprawianie służby bożej. Kto więc tedy przyszedł, mógł zupełnie podług woli przysłuchiwać się kazaniom albo śpiewom, lub też uwadze swej polecać zwierzęta, kwiaty i t. d. Ta komiczna pomysłowość nie doznała ogólnej aprobaty. W 1854 r. parlament utworzył komisję, która się zajęła rozpatrzeniem kwestji szynkowej. Rezultaty okazały, że nieumiarkowanie bezwarunkowo się zmniejsza, gdy lud znajduje inne sposoby uprzyjemnienia sobie czasu. Komisja więc stawia taką rezolucję: „Byłoby pożądanem, aby miejsca, w których się odbywają wykłady popularne i służą za odpoczynek, a obecnie w dnie niedzielne są zamknięte, w po południowych godzinach były otwierane. O ile miejsca takie, wskutek przeszkód prawnych są zamknięte, o tyle odnośne przepisy mogą zostać zmienione.“ To, zresztą bezskuteczne orzeczenie wywołało liczne uwagi, postanowienia, rady i petycje. Nareszcie po długich trudach, 1867 roku parlament dał się uprosić, aby odczytano projekt do zmiany bilów Jerzego — po pierwszej wszelako zaraz sesji, wszelkie zmiany odrzucono. Następnego jednak roku niejakiemuś Langley zachciało się denuncjować za niepszestrzeganie praw niedzielnych; byłto pierwszy wypadek od czasu ustanowienia piątego bilu. Naturalnie oskarżony musiał być skazanym. W trzy lata później znów doniósł ktoś, że pewien rybak w niedzielę zaopatruje stół królewski w ryby. Te fakty dopiero zwróciły na się uwagę „Izby niższej i lordów“, otworzyły im oczy, ale jeszcze nie w zupełności, i wówczas spostrzegli dopiero, że to co Karol zrobił, nie było dobre. Sporządzono więc bil, który uznawał, że dochodzenie, na podstawie czwartego aktu niedzielnego, tylko za zezwoleniem magistratu może mieć miejsce. Dlaczego odrazu całe to prawo nie zostało zniesione, nie wiemy i nie pojmujemy — wszelako jeszcze mniej jest zrozumiałem, dlaczego ten nowy bil miał być prawomocnym do 1875 roku! Oto jest wszystko, co czyniono dotąd w celu odwołania owych fatalnych pięciu dekretów. Już podczas wspomnianych rozpraw, sędziowie okazywali swą niechęć względem denuncjacyj — poznali, że prawa te były nonsensem, mimoto jednak jako sędziowie musieli się ich trzymać.

Podczas następnych czterech lat nic zresztą nie było słychać o tych kwestjach. Z tem wszystkiem słynne akwarium w Brighton zaczęto otwierać dla publiczności za pieniądze zarówno w niedzielę jak w dnie powszednie. Podczas gdy przez długie lata nikomu nie przyszło na myśl wystąpić przeciwko temu, nagle 1875 r. w końcu kwietnia, jakiś pan Ferry przypomniał sobie, że stare prawa są jeszcze obowiązujące i zaskarżył towarzystwo aquarium. Przy tem zauważył on, że mu nie idzie o zaszkodzenie towarzystwu, ale o „wykonanie“ prawa. W celu dowiedzenia tego, zaproponował on karę wynoszącą 20 funt. szterl. Prawo wytrzymało „próbę“ bardzo dobrze, na jasności nie pozostawiło nic do życzenia. Jest rzeczą naturalną, że aquarium jest „disorderly-house“, służy do zabawy i było przystępne za pieniądze. Sędziowie więc zmuszeni byli towarzystwo aquaryjne skazać po 200 funt. szterl. za każdą niedzielę, w którą ich zakład był otwarty. O ile jednakże niechętnie ten wyrok został wydany, poznać można po uwagach, które sędziowie do niego dodali. Jeden z nich powiedział, że „byłoby mu bardzo przyjemnie, gdyby nie potrzebował brać udziału w sądzeniu tej sprawy“. Drugi utrzymywał, że ci, którzy niechcą, aby lud zwiedzał Public-Houses, powinni się postarać o to, by mu je zastąpić interesującemi i pouczającemi rozrywkami“. Mimoto, że sędzia rzadko zwykł mówić przeciwko prawu, uwagi te zyskują na wysokiem znaczeniu, i pobudziły dużo agitatorów, którzy wystąpili przeciwko zastarzałym dekretom.

Że towarzystwo brightońskie nie mogło się pojednać z tym wyrokiem, rzeczą jasną. Poleciło ono wprawdzie w następne dnie niedzielne zamknąć aquarium, ale pobudziło też do agitacji. Prasa zajęła się gorliwie tym przedmiotom i tak go przetrząsła, że parlament już w miesiącu lipcu widział się zmuszony sporządzić bil, mocą którego minister spraw wewnętrznych otrzymał prawo uznania wszelkich wyroków zapadłych na podstawie fatalnych praw niedzielnych Jerzego, za nieważne. Reforma ta może być tylko zrozumianą naturalnie, że minister faktycznie każdą karę kędzie znosił, tak, że denuncjantom odechce się denuncjować. Bil ten zasługuje zarówno na zarzucenie jak ów podobny zupełnie do niego z 1871 r.; mają one wprawdzie oba na celu, prawo obowiązujące uczynić nieszkodliwem i niezaprzeczenie wywierają skutek, ale czyż nieby łoby daleku roztropniej podobne prawo znieść zupełnie? Niepojmujemy tego postępowania i dla półśrodków jego nie możemy znaleść usprawiedliwienia.

Zachodzi kwestja, czy opinja publiczna zgodzi się na podobne rozwiązanie kwestji niedzielnej. Sądzimy, że nie. Gdy okoliczności te wskutek zajścia z brightońskiem towarzystwem znów silnie wystąpiły na porządek dzienny, nie powinny by one wcześniej zasnąć spokojnie, dopokąd obecny ustrój angielskiej niedzieli nie ulegnie gruntownej reformie. Można słusznie zażądać — i przeprowadzi się to — aby akty, któreby obecnie w żaden sposób nie zostały przyjęte, nie były i teraz cierpiane, zwłaszcza jeżeli tak są

ułożone, że nawet w najbardziej urzędowych kołach z niechęcią wyrażają się o nich. W samej rzeczy ujawnia się obecnie tak silny antysabatowy kierunek między narodem, że agitacja ta bezwarunkowo dozna pomyślnych skutków. W Londynie istnieje już od kilku lat dziesiątek „Sunday league,“ jest ona jednak bardzo ciemna i bezsilna. Cała działalność tej „league“ ograniczała się do tego, że podawała ona petycje do rządu i do izb prawodawczych, to jednak właściwie ua mało się przydało i, o ile wnieść można z obecnego stanu rzeczy, słabe na przyszłość zapowiada rezultaty. Tak ważne sprawy w inny zupełnie sposób powinny być atakowane. Potrzeba tu energji ligi Cobdena Wspomniane akwarjum zrobiło już początek, albowiem zacząwszy od dnia 15. sierpnia 1875 w każdą niedzielę jest otwarte. Najlepiej by było, żeby wszystkie miejsca rozrywek poszły za jego śladem.

Ciągłe meetingi, artykuły dziennikarskie, interpelacje i t. p., zrobiłyby już resztę i pozwoliłyby zająć takie stanowisko, że państwo przestałoby członkom swoim zakazywać w jakimkolwiek dniu roku pracować i szukać rozrywki.

Państwu, jako maszynie rządzącej, pozostawia się do woli w niedzielę odpoczywać. Wypoczynek taki jest nawet niezbędny dla tych, którzy przez cały tydzień się dręczą, aby także mieli okazję wypocząć. Wypoczynku tego jednakże im zatruwać państwo nie ma żadnego prawa.

Ostatecznie państwo we własnym swym interesie jest niekonsekwentne w kwestji przeprowadzenia tego niedzielnego wypoczynku swych urzędników. Podczas gdy poczcie daje wypoczynek, telegrafowi każe pracować bezustannie. I do tego wszak także trzeba ludzi? A jednak dało się to jakoś urządzić, mniejsza z tem w jaki sposób, we wszystkich innych krajach. W ten sam sposób towarzystwa transportowe zgodnie się porozumiały ze swymi urzędnikami w przedmiocie pracy niedzielnej. Tego rodzaju regulowanie stosunków wykonywa się wszędzie, zazwyczaj samo przez się, na korzyść wszystkich współdziałających bez wszelkiej interwencji prawodawczej. Publiczność może być dobrze obsłużoną, a mimo to usługujący jej nie powinni się módz uskarżać na zmęczenie. Jest bezwarunkowo rzeczą niemożebną, aby niedziela jednocześnie była i dniem ogólnego wypoczynku i ogólnej zabawy, albowiem właściwie bawiąca się część musi być obsługiwaną przez inną. Otóż zawieranie kompromisów w tej kwestji, powinno być zostawione osobom interesowauym. Żadnemu zaś przedsiębiorcy nie powinno być wzbronione, ludziom swym dawać w niedzielę zajęcie, z ich wolą, za dodatkową płacę, lub też inną ugodę, albo też na te dnie wynajmować innych posługujących.

Bądź co bądź, naród angielski powinien być dostatecznie kompetentnym w kwestji spędzania dnia niedzielnego, czy to przy książce, czy też nareszcie w publicznych zakładach.

Na zakończenie pozwolę sobie zwrócić jeszcze uwagę szanownych czytelników na kilka zjawisk społecznych, których zapewno gdzieindziej napotkać nie można, a które i tutaj są tylko wynikiem ustroju dnia niedzielnego. Dla osób przebywających w domu wytworzyła się specjalnie cała literatura niedzielna. Dzienniki wprawdzie nie wychodzą, natomiast jednakże drukuje się mnóstwo „bibljotek“ i „magazynów“. Jedna nawet z tych perjodycznych publikacyj nosi tytuł: „Sunday ad home“. Dalszą konsekwencją tego dziwnego „Dnia Pana“ jest, że wiele biur i warstatów, zamyka się już w sobotę popołudniu o 2-giej godzinie, tylko w celu dania możności pobawienia się przynajmniej przez pół dnia sobotniego tym niewolnikom niedzieli. Niezwykle dziwnem urządzeniem jest tak zwany „Bankholiday“. Jestto jeden poniedziałek w miesiącach kwietniu, czerwcu, sierpniu i grudniu. Cztery te dni w roku są przeznaczone na powetowanie sobie wszystkich dni niedzielnych. Wszystkie więc domy handlowe, fabryki, warstaty i t. d. zamykają się i dusza ile tylko zapragnie używa w owych „dysorderly house“, które w „Dzień Pana“ ulegają kontroli bilów niedzielnych. Nic też dziwnego, że zezwolenie to bywa silnie wyzyskiwane. Nakoniec zanotuję, że aby dać zupełną możność pohulania, prawie wszyscy pryncypałowie pozwalają swym podwładnym brać urlop na 14 dni („yearly holidays“). Rozumie się, że zapłata za ten czas odlicza się, a mimo to jednak większa liczba jest zmuszoną korzystać z tego urlopu. Miejmy jednak nadzieję, że zacofane urządzenia minionych wieków, upadną pod naciskiem postępowych dążeń inteligencji angielskiej, a dni niedzielne tak będą obserwowane w liberalnej Anglji jak gdzie indziej — w mniej może liberalnych krajach — i jak obserwowane być powinny.

L. K.

JAPONJA

przez

K. SKAŁKOWSKIEGO.

Obecny stan Japonji; reformy; skutki najazdu nieproszonych dobrodziejów; stronnictwa polityczne; powody rewolucji. — Wpływ reform na stan ekonomiczny; wyzyskiwanie bezczelne Japonji przez cywilizatorów. — Ogólne niezadowolenie, opozycja, prasa, kluby, adresy, porównanie z Polską. — Nagasaki. — Oryginalne fiakry. — Kolonja rosyjska.

Nie pierwsza Japonja przedstawia nam przykład kraju, którego nieszczęścia poczęły się od chwili zetknięcia z Europą i jej cywilizacją sławioną. Pomyślność dopóty trwała, dopóki Japonja żyła w osamotnieniu: rząd był szanowany i silny, jedna i taż sama dynastja panowała bez przerwy przez całe lat 2.500; wyższe warstwy towarzyskie, skupiając się około mnóstwa domów książęcych, tworzyły ogniska, w których sztuki wraz z oryginalnym a wykwintnym przemysłem rozwijały się i kwitły swobodnie; stan wojskowy cieszył się wprawdzie przywilejami znacznymi, lecz słynął natomiast z ducha rycerskiego i wspólnie z możnymi książęty, stanowił skuteczną przeciwwagę rządu centralnego, nie pozwalając na wyzyskiwanie słabszych; o jakichś tam podbojach, Japonja ani myślała nawet i przez całe 25 stuleci wiodła tylko dwie wojny; prosty lud nie znał co to jest niewola, a lekkie podatki płacił ryżem; taniość była powszechna i przez całe lat 300 produkta w cenie ani razu nie podskoczyły; nie bacząc nareszcie na ciągły wzrost ludności, nikt nie czuł najmniejszej potrzeby szukania chleba za granicą, i tak dalece własne produkta wystarczały, a to dzięki doskonałemu gospodarstwu rolnemu, że połowa archipelagu Japońskiego pozostawała niezaludnioną, stanowiąc tym sposobem jakby rezerwę dla przyszłych pokoleń. Brak dróg lądowych wynagradzał się ogromem marynarki przewozowej (cabotage), i kraj we wszystkiem starczył sam sobie, z wyjątkiem chyba tylko kilku sprzętów i sprzęcików angielskich lub holenderskich, kupowanych przez majętniejszych jako osobliwość szczególna. Nie tylko z ziemi, ale i z wód morskich — o czem dopiero w Europie marzyć poczynają — ciągnęli Japończycy korzyść, a umiejętność czytania i pisania, była u nich powszechną, rzemiosła kwitły, nie było wprawdzie kapitalistów wielkich, ale też i nie było ubóstwa; naród troszczył się tylko o rozmaitość rozrywek, a po wypędzeniu jezuitów w roku 1638, panował w Japonji najzupełniejszy pokój pod względem wyznaniowym; fanatyzmu nie było żadnego, a siła religji nie polegała na dogmatach, lecz na wpływie etycznym na naturę ludzką. Nie zgodziwszy się na przyjęcie od Europejczyków katolicyzmu, Japończycy przyjęli w zamian tytoń, i odtąd palenie fajki, tak u majętnych jak i ubogich, poczęło, po miłości, stanowić główną ich przyjemność.

I trzebaż nieszczęścia, że do kraju tak szczęśliwego wpadli Europejczycy lat temu przeszło 30 ze swoją cywilizacją, a to idąc za przykładem przedsiębiorczych Jankesów, powodowani chciwością niezmierną! Cywilizację przynieśli pod postacią wódki, opium i innych towarów. Japończycy zamiast przepędzić nieproszonych gości za dziesiątą miedzę, lub co najmniej ostrożnie przyjmować wszelkie ich grzeczności, jak to czynią naprzykład Chińczycy — postąpili przeciwnie; otworzyli na rozcież wrota wszelkiego rodzaju kuglarzom europejskim i to ich zgubiło. Dziś już rzadko który Japończyk nie żałuje popełnionego głupstwa, lecz płacz to zapóźny, narzekania na nic się nie zdadzą i pozostało już tylko jedno, a mianowicie, zapobiegać o ile sił starczy dalszemu wdzieraniu się Europejczyków w głąb kraju i rozpowszechnieniu tam handlowych ich operacyj.

Dotąd stoi otworem dla Europejczyków miast tylko siedm: Nagasaki, Kobe, Osaka, Jokohama, Chokodate, Tokjo, i Nijegata, a już łatwo jest dostrzedz olbrzymią krzywdę wyrządzoną Japonji przez ożywione z Europą stosunki handlowe. Może nam kto powie, że inaczej Japonja nie cieszyłaby się dobrodziejstwami cywilizacji współczesnej. Ani słowa; przyznajemy chętnie, że wytworzyły się już u Japończyków sztucznie pewne nowe potrzeby, jakich wprzód nie znali; wielu z nich nosi już „pince-nez“, cylindry, krochmalone koszule, lakierowane ciżemki i krawaty różne; piją oprócz tego kwaśne wina francuskie i obrzydliwy amerykański alkohol, zdejmują fotografje ze swych aktorek i kokotek — lecz po co to wszystko, pytamy, Japończykom, gdy kraj ich i bez tego był szczęśliwy i wesoły, i nie znał co to proletarjat, gdy Europa tymczasem dotąd nie wie jak się uporać z klasą roboczą i gdzie podziać nadmiar ludności i produkcji swojej? Fakta ekonomiczne zresztą wymówniej stwierdzają to, co się powiedziało powyżej, aniżeli nabycie kilku maszyn, instrumentów fizycznych i chemicznych retort, które sprowadzać i przedtem z Europy nikt Japończykom nie wzbraniał.

Japonja jest najlepszym przykładem szkodliwości zachwalanej swobody handlowej, która już nie jednemu krajowi dała się we znaki. Za-

wierając dyplomatyczno-handlowe traktaty, Japończycy nie przewidzieli, a nawet i nie mogli przewidzieć jak wielkiego znaczenia — szczególnie po przekopaniu międzymorza suezkiego— nabędzie żegluga parowa, w skutek czego, nie tylko że się zgodzili na przywóz towarów za bardzo lichą opłatą, lecz nadto związali sobie niebacznie ręce i na przyszłość w tym względzie. Następstwa nie kazały na siebie czekać długo. Dość było lat piętnastu, ażeby kraj uchodzący niegdyś za wzór pomyślności stał się bankrutem. I to bankrutem do takiego stopnia, że kupcy zagraniczni, którzy w pierwszych chwilach cieszyli się nie małymi zyskami, dziś coraz mniej sprzedają. Składy ich zawalone różnemi wybiórkami, stoją nietknięte, bo nikt nie kupuje, a jeśli jeszcze robią jakie takie interesa, to tylko dzięki obstalunkom ze strony rządu, któremu koniecznie się zachciało nie wiedzieć po co armji na wzór europejskiej, t. j. takiej armji, co wysysa najżywotniejsze soki z kraju.

Dla poprawienia swych interesów, starają się Europejczycy na wszystkie sposoby wcisnąć swój lichy towar jak najdalej w głąb kraju, ale sami bardzo mało od Japończyków kupują. Co tylko było z osobliwości, z rzeczy staroświeckich i z cudów sztuki japońskiej, wszystko to już oddawna zostało za bezcen, sposobem szachrajskim, wykupione, do Europy zwiezione i odprzedane na wagę złota wzbogaconym żydom i koncesjonarjuszom kolei żelaznych. W zamian za grosz, Japonczyk pozbył się skarbów. Choroba jedwabników zmusiła była Włochy i Francję do szukania jedwabiu na dalekim Wschodzie; Japonja przeto dużo sprzedawała jedwabiu, a szczególnie jajeczek jedwabników, lecz obecnie wzmiankowana zaraza poczęła ustawać i handel jedwabiem prawie tak, jak ustał zupełnie. Pozostała tylko herbata. Pomimo, że smak herbaty japońskiej jest bez porównania gorszym od chińskiej, duży jednak panuje dotąd popyt na nią do Stanów północnej Ameryki, szczególnie do Chicago, a nawet ciągle jeszcze wzrasta. Lecz zbyt jednej herbaty nie jest w stanie wyratować Japonji i pomimo, że sprzedaje ona tego ziela rocznie za kilka miljonów dolarów, oto jakie następstwa spotkały ją wskutek otwarcia swych portów zagranicznym okrętom:

Dzięki konkurencji zagranicznej, ceny wzrosły pięć do sześciu razy, szczególnie na artykuły żywności i lud prosty bieduje. Rząd sprowadzając z zagranicy armaty i amunicję, nie może już, jak dawniej, pobierać podatków ryżem; domaga się pieniędzy, a tu w Japonji i tak nigdy nie panowała obfitość brzęczącej monety. Były i są dotychczas kopalnie złota i srebra, ale tak ubogie, że nie płacono w nich nigdy więcej robotnikowi jak 12 groszy polskich dziennie; gdy więc teraz, wskutek podrożenia wszystkiego, tenże sam robotnik potrzebuje zapłacić za sam ryż dziennie groszy 40, kopalnie, z braku chętnego robotnika, zostały zaniechane. Niedostateczna ilość kruszców spowodowała wypuszczenie pieniędzy papierowych, co znów nie omieszkało sprowadzić rezultatów zwykłych. Wnet cała brzęcząca moneta albo się schowała w kufrach spekulantów, albo została wykupioną przez rząd i leży w jego piwnicach, albo też wywiezioną za granicę. Ażjo podskoczyło na 60%, a co gorsza, cywilizacja zaraz nauczyła Japończyków grać na giełdzie. Powstała więc gra na to ażjo, kurs, który waha się pomiędzy 1% a 30%, a że ryż stanowi główne pożywienie kraju, więc za grą na ażjo, spekulanci szachraje wymyślili grę na ryż, cena którego również nadzwyczaj jest niestałą, z powodu wielkiej zmienności kursu banknotów. W kwietniu roku bieżącego rząd wprawdzie pozamykał te giełdy, lecz naturalnie nie zaradził złemu. Kurs banknotów, jak był słaby i chwiejny, tak i dziś takim pozostał.

W ślad za pogorszeniem stanu finansowego wyrodziło się niezadowolenie pod względem politycznym, i to u ludu, którego przedtem polityka bynajmniej nie obchodziła. Stało się więc tak, że do niezadowolenia u góry, t. j. klas wyższych, spowodowanego rewolucją 1868 roku i reformami późniejszemi, dołączyło się niezadowolenie u dołu. Myliłby się ten bardzo, ktoby w dzisiejszym mikadzie, t. j. cesarzu, chciał widzieć reformatora, coś podobnego naprzykład do Piotra Wielkiego. Mutzu-Hito, człowiek młody, polityka go wcale nie zajmuje i niczem się nie wyróżnia od popzedników swoich w trybie postępowania. Prowadzi życie takież same jak oni, z wyjątkiem chyba tych rzadkich chwil, gdy raczy się pokazać narodowi swojemu w generalskim, wyszywanym złotem, mundurze, krojem europejskim zrobionym. Jak dawniej rządził szogan cesarstwem, tak dziś rządzi kamarylla, stosunek której do mikady jest dotąd jakoś niejasnym. *)

Rewolucja 1868 roku nie była przewrotem w znaczeniu europejskiem; lud nie brał w niej najmniejszego udziału. Rewolucję wywołało kilku ambitnych zarządzców, udzielnych książąt Sacumy, Nagato, Toza i Gizen, którym podejrzliwy despotyzm szogonów zdawał się być nie do zniesienia. Z pomiędzy tych rewolucjonistów najzdolniejszymi okazali się: teraźniejszy minister robót publicznych, Itto, i Okubo, który poległ. Przez czas dłuższy Itto sprawował obowiązki ministra spraw wewnętrznych, i raz dostawszy się do władzy, mocno trzymał jej wodze. Okubo zaś, minister robót publicznych, miał, jako taki, w swych rękach kasę publiczną, niezbędną dla sprawy, którą zamyślali. Nie mając żadnych stosunków u dworu, poradzili sobie w ten sposób, że zjednali sobie Sandżego i Iwakurę — dwóch „Kuhów"— tj. dalekich krewnych mikady, którzy znów, jako tacy, sami jedni mieli wolny dostęp do „świętego" przybytku, t. j. pałacu mikady w Kjoto. Za pomocą tych dworaków „Kuhów", dostawszy w swe ręce mikadę, zawlekli go do Jeddo, t. j. do rezydencji szogunów, i tam osadzili. Jeddo nazwali następnie Tokio, tak samo jak mikado zmienił swój tytuł na tytuł „tenno". Sandżio, jest to człowiek bardzo pospolity, ale co do Iwakury, drugiego wspólnika Okuby i Itta, to ten ma prawo być uważanym za człowieka rozumnego, i to za bardzo rozumnego. Iwakura, zarządzający obecnie ministerstwem spraw zagranicznych, był zawsze duszą każdego ministerstwa, jakie następowały po sobie wskutek rozmaitych ministerjalnych przewrotów. To też i ostrzą na niego wciąż zęby stronnicy dawnych porządków. W kilka dni po powrocie jego z Europy napadła była na niego cała szajka zamaskowanych szlachciców i o mało nie zamordowała. Ocalenie swe temu zawdzięcza, że ciężko rannego, myśląc że już nie żyje, rzucili byli do rowu. Dziś Iwakura w najlepsze paraduje po Tokio, otoczony oddziałem kawalerji, jak to zresztą czynią i wszyscy inni ministrowie, w obawie przed zamachem.

Wszyscy dzisiejsi japońscy mężowie stanu są stosunkowo zbyt młodzi, i wszyscy okropnie niepopularni. Chce się im koniecznie dowieść, że Japonja jest krajem ucywilizowanym w guście europejskim, i jako taka, powinna być zaliczona do „koncertu" państw europejskich. W gruncie rzeczy Japonja i przedtem w niczem nie ustępowała cywilizacji europejskiej. Różniła się chyba tem tylko, że wiadomości techniczne nie stały u niej na tymże samym stopniu. Przyswajała ona je sobie i przedtem za pośrednictwem Holendrów, ale przyswajała dobrze, bo stopniowo i pomału, bez wstrząśnień i bez podkopywania fundamentów życia społecznego i ekonomicznego i bez zwalania na kraj ciężarów niepomiernych.

Zagorzali „zachodowcy" w Japonji utrzymują, że kraj ich nie powinien stać na uboczu, żyć życiem odrębnem, jeśli pragnie rozwoju i rezultatów dodatnich; że powinien starać się jak najprędzej wejść w styczność z innymi i żyć życiem wspólnem, ogólnem, to jest takiem, jak inne narody. Teoretycznie przeciw temu, nic nie można powiedzieć. Ale „życie ogólne" jest pojęciem warunkowem. Japonja nie jest wstanie przyswoić od razu, za jednym, że tak powiemy, zamachem, wszystkiego co ma najlepszego cywilizacja europejska, a właśnie tego nie chcą w żaden sposób uwzględnić jej reformatorzy. Chcieliby ażeby jak za uderzeniem różczki czarodziejskiej, wszystko się zmieniło od razu. I cóż z tego wynikło? Wynikło to, że najechało do niej mnóstwo szarlatanów Anglików, Amerykanów i Żydów — a wszystko to w roli cywilizatorów i wielkich dobrodziejów — i Japonja zamiast stać się Europą, tylko ją naśladuje w sposób graniczący z małpiarstwem. Ci wszyscy Żydzi i tutti quanti — istne szumowiny, mają pretensję być reprezentantami postępu i nauki, a naprawdę są to odpadki kolonij europejskich na dalekim Wschodzie.

I zgraja ta na kogóż wpadła? Oto na naród najdobroduszniejszy i najuczciwszy na całym świecie. Więzienia japońskie, ze swemi *papierowemi*, nie ścianami — ale raczej zasłonami jakiemiś — tak dobrze jak nie znały do ostatnich czasów, co to jest aresztant, a co do kłódek, zamków i jakichś tam u drzwi mieszkań ryglów, to i teraz nie bardzo podejrzewają, ażeby takowe istniały na świecie i na coś mogły być przydatne. Proszę wejść do restauracji; doprawdy żenada bierze człowieka; płacisz, a tu restaurator — nawet *teraz* jeszcze — wziąwszy pieniądze powraca, oddaje ci częś i powiada, że nie może wziąć tyle, bo jakoś nie jest w swem sumieniu pewny, czy rzeczywiście tyle wziąć wypada. Można sobie tedy wyobrazić, jaką to kopalnią jest podobny naród dla *cywilizatorów* z Europy!

Wyższe stany w Japonji odznaczały się zawsze rycerskiem duchem. Tak zwany punkt honoru, był u nich posunięty aż do śmieszności. Znanem jest naprzykład prawdziwe zdarzenie,

*) Mylne do niedawna panowało w Europie zdanie, a u niektórych i dotąd panuje, że w Japonji zasiadało na tronie zawsze dwóch cesarzów. Cesarz, mikado, był zawsze tylko jeden i obecna dynastja japońska jest jedną z najdawniejszych na całej kuli ziemskiej. Ale była rzecz taka: mikado, osoba święta, nietykalna i jakby sam Pan Bóg, niepokazująca się nigdy poddanym swoim — panował, lecz będąc zbyt świętym, dla zajmowania się sprawami państwa, zarząd nad niemi zdawał na tak zwanego «szoguna«, niby plenipotenta, z czego wynikało, że mikado jadł, pił i spał, i pozwalał adorować się zdaleka, a szogun był wszystkiem. (Przyp. tłumacza.)

że pewien szlachcic pędząc z spełnieniem rozkazów szogana, niechcący potrącił innego szlachcica, i w pospiechu zapomniał go przeprosić. Szlachcic potrącony, w mniemaniu, że to umyślna zniewaga, dobył szabli i natychmiast rozpłatał brzuch sobie. Spełniwszy rozkaz, przypomina sobie pierwszy szlachcic, że potrącił kogoś i zapomniał przeprosić. Pędzi więc czemprędzej spełnić warunek grzeczności i zastaje trupa — co ujrzawszy, ani chwili się nie namyśla, i również brzuch sobie płata. Przypuśćmy nawet, że anegdota to nie prawdziwa, to i w takim razie charakteryzuje ona doskonale pewne usposobienia, pewny układ pojęć i wychowania japońskiego, bo czemuż u żadnego z innych narodów nie powstała podobna opowieść? Wypadek więc powyższy zasługuje bardzo na wiarę, tem więcej, że na widowiskach teatralnych żaden dotąd dramat nie obejdzie się bez śmierci przez rozpłatanie brzucha, a w jednej ze świątyń japońskich pokazują grób 35. szlachciców, którzy się pozabijali ze wstydu, że nie zdołali obronić swojego towarzysza.

Do takiego to kraju zawitali nareszcie dzisiejsi nasi „geszeftsmachery"! Ciekawą jest rzeczą, jakie to zasady moralności i cywilizacji panowie ci Japończykom przynieśli? Wszystkich cudnych, nie do uwierzenia historji, nie sposób opowiadać, ale oto próbki: Rząd japoński zaciągał pożyczkę. Wnet pewien bank londyński posyła agenta z propozycjami, ale propozycje były zbyt ciężkie, i rząd ułożył się z innymi bankami. Zdaje się, że nic prostszego na świecie; ów bank nie był wzywany imiennie, sam dobrowolnie posłał agenta, a jednak nie omieszkał, przy pomocy posła angielskiego, wyrwać 60.000 funtów szterlingów od rządu mikady tytułem niby to poniesionych strat! Inny wypadek, jeszcze lepszy: Przy pomocy europejskich inżynierów rząd budował drogi żelazne, które go co najmniej trzy razy drożej kosztowały, jak były powinny kosztować. Nie zadawalając się tak olbrzymim zyskiem, przedsiębiorcy wytumanili w kontrakcie od rządu, ażeby dyrektorem jednej z tych dróg był pewien b. członek parlamentu angielskiego, i to z pensją nie mniejszą jak 36.000 dolarów w brzęczącej monecie, t. j. 80.000 guldenów w złocie na austrjacką walutę. I cóż się okazało? Okazało się, że ów mniemany, czy też rzeczywiście b. członek parlamentu, będąc wprzód dyrektorem jakiegoś tam banku w Australji, skradł 150 000 dollarów; akcjonarjusze więc, nie chcąc ponosić straty, wpadli na koncept: wysłali złodzieja swojego do Japonji i zrobili go tam naczelnikiem kolei żelaznej, by mógł z kolosalnej swej pensji w lat parę oddać to co ukradł.

Wszystkie dotychczasowe reformy z wyjątkiem dziesięciu okrętów wojennych, kilku bataljonów piechoty na manier francuski i kilka fabryk rządowych, przynoszących nie zysk, lecz ogromne straty corocznie — wydały ten tylko piękny rezultat, że wytworzyły sztuczną biurokrację i to w kraju, który wcale nie znał co to urzędnik, a o policji miał jakieś wprawdzie pojęcie, ale bardzo mętne i chwiejne. Wszystkie, dawniejsze patrjarchalne władze zostały skasowane; książęta udzielni wraz ze świtami swojemi nie istnieją więcej, ale w zamian za to rząd był zmuszony przeznaczyć im, każdemu pewne wynagrodzenie, przez co $^1/_4$ część budżetu idzie na opłacenie procentów od tych wynagrodzeń za zniesioną administrację dawną. Czyli inaczej mówiąc, wypada: że Japończycy, którzy dzięki łagodności charakteru, obchodzili się aż dotąd, przez całe lat tysiące, i to jak najlepiej, nadzwyczaj małą ilością organów rządowych, dziś zmuszeni są utrzymywać dwie administracje. Zdawało się reformatorom, że spłaciwszy dawnych książąt udzielnych, usuną tym sposobem wszelkie kłopoty, a tymczasem zawiedli się mocno, bo feudały i szlachta, z wyjątkiem tych, którzy wstąpili do służby państwowej, pomimo pobieranej renty z budżetu, jak byli tak i pozostali w opozycji, i czekają tylko kiedy się to wszystko skończy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LORELEJ

(Z HEINEGO).

Nie wiem co znaczy i zkąd gości
Ten smutek w piersi mojej —
Z zamierzchłych czasów baśń przeszłości
Wciąż mi na myśli stoi.

Chłodno! zmrok pada na błękity
I Renu tło spokojne;
Zdaleka płomienieją szczyty,
W zachodu odblask strojne.

Najurodziwsza z dziewic grona
Spoczywa tam bez troski —
Złocistą szatą otulona,
Złociste czesze włoski.

Złocistym czesze je grzebykiem,
A czesząc, piosnki śpiewa —
Dziwna melodja echem dzikiem
Do koła się rozlewa.

Słysząc ją, żeglarz w łódce małej,
Uczuwa ból ponury —
Nie patrzy na podwodne skały,
Spogląda wciąż do góry.

Żeglarza z czółnem w końcu na dno
Pociągnie wody siła —
A wszystko to swą piosnką zdradną
Lorelej uczyniła.

St. Rossowski.

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

TOM II.

(Dokończenie).

Ażeby zrozumieć smutny wykrzyknik Stanisława, musimy przypatrzyć się ruchom strategicznym dr. Mitręgi od chwili, gdy wyszedł z biura *Orędowniczki.*

Rada, którą mu dał Wołodecki, była dobrą, ale potrzeba ją było wykonać natychmiast. Rozmyślając nad tem wykonaniem, dr. Mitręga powiedział sobie, że pięćdziesięcioma idealnikami daleko zajechać niepodobna. Ponieważ zaś nie mógł jechać daleko, umyślił skorzystać z kilkakrotnych zaproszeń pewnego hidalga, który mieszkał o parę mil od Wilkowa, i który rad był ugościć u siebie tak dystyngowanego dżentelmana, jak dr. Mitręga i urządzić na jego cześć nagonkę na zające, sarny, lisy i dziki. Podróż taka była nawet bardzo *fashionable* i wcale nie zakrawała na ucieczkę.

Jednocześnie atoli uradził dr. Mitręga, sam na sam z sobą, iż nie podobna wyjeżdżać na polowanie w stroju przeznaczonym do chodzenia po mieście. — Na szczęście — pomyślał — garderoba moja nie jest objętą zajęciem ruchomości, wykonanem przez tego prostaka gospodarza!

Udał się tedy do dawniejszego swojego pomieszkania, i zażądał klucza, który mu doręczył stróż wraz z jakimś papierem. Dr. Mitręga przejrzał ten papier od niechcenia—było to wezwanie, ażeby się stawił tego samego dnia o godzinie 10-tej rano w sądzie wilkowskim, pod pewnemi rygorami prawnemi, dość ogólnikowo wskazanemi przytoczeniem jakiegoś paragrafu ustawy. Dr. Mitręga schował to wezwanie do kieszeni, i przystąpił do przeglądu swojej garderoby.

W szafie, która ją mieściła, znalazł kożuszek barani, pokryty suknem ciemnopopielatem. Znalazł także wysokie buty myśliwskie, jakoteż dubeltówkę i wszelkie inne przybory. Ale dr. Mitręga posiadał nowiuteńki garnitur z ciemnozielonego aksamitu, z kamaszami, niedawno sprowadzony z Paryża — taki garnitur, w jakim, według rycin w żurnalach, młodzież z przedmieścia Saint-Germain zwykła była mordować, albo przynajmniej straszyć króliki w przyległych do stolicy francuskiej departamentach. Tym garniturem chciał dr. Mitręga zaimponować swojemu hidalgowi i jego sąsiadom, po parafiańsku polującym w kożuchach. Nie powstrzymał go w tym zamiarze wzgląd, że klimat Milicji i Landwerji sprzyja nierównie więcej kożuchom baranim i juchtowym butom, aniżeli aksamitnym kurtkom i ledziutkim kamaszom.

Na nieszczęście, garnituru tego nie było w żadnej szafie, do której dr. Mitręga miał klucze. Przypomniał sobie po dłuższem szukaniu, że dał go do schowania żonie, i że musi on znajdować się w jej komodzie, od której wszakże wzięła klucz z sobą. Nie było rady — potrzeba było

pojechać na sokołowskie przedmieście, do żony.

W Wilkowie, w czasie słoty, nie łatwo o fiakra. Dr. Mitręga stracił tedy niemało czasu, nim znalazł jednego, który miał nieco lepsze konie. Ażeby nie być narażonym na dalszą zwłokę, postanowił ugodzić się z nim od razu o podróż do Pudłowic, siedziby owego hidalga. Zawieranie takiej ugody trwa zwykle dość długo, i woźnica był bardzo upartym. W końcu atoli zmiękł z powodu, iż przystąpił do targujących się jakiś jegomość, dość niepokaźnie ubrany, który z wielkiem zajęciem się spytał, dokąd pan dobrodziej jedzie? Woźnica poznał w nim, czego nie poznał dr. Mitręga — przebranego po cywilnemu członka straży bezpieczeństwa, i od razu zmoderował swoje żądania. Grzeczny jegomość pomógł dr. Mitrędze wsiąść do powozu, i słyszał jego rozkaz, dany woźnicy, ażeby jechał najpierw na przedmieście sokołowskie, do p. Kluszczyńskiego, a później na ulicę Oberkomisarską, do pomieszkania dr. Mitręgi.

Tenże sam grzeczny jegomość, zasięgnąwszy tych informacyj, udał się bezpośrednio do gmachu sądu karnego, dokąd na godzinę dziesiątą zaproszono dr. Mitręgę. Była już dwunasta, a zaproszonego jeszcze nie było widać — co, w połączeniu z informacjami grzecznego jegomości, dało dużo do myślenia sędziemu, zajmującemu się sprawą Banku Filodemicznego; do tego stopnia, iż widział się zniewolonym zaprosić na naradę kilku innych sędziów.

Rezultatem tej narady było, że kiedy Stanisław, pędząc dorożką w ślad za dr. Mitręgą, stanął przed dworkiem pp. Kluszczyńskich, zastał tam nie jeden powóz, ale dwa.

Stał chwilę na ganku — nie mógł zdecydować się wejść od razu. Od czasu owego pamiętnego zwrotu pierścionków, nie widział nikogo z całego domu Kluszczyńskich. Widział, że Natalja jest u rodziców, i przemyślał nad tem, jakby uniknąć spotkania z nią, dla obu stron niemiłego. Gdyby nie tak nagła potrzeba, za nic w świecie nie przestąpiłby tego progu. Ale nie było czasu do namysłu. Stanisław otworzył drzwi i wszedł. Na pierwszym kroku spotkał dr. Mitręgę, wychodzącego w towarzystwie jakiegoś drugiego mężczyzny.

— Jedno słówko, panie doktorze! — rzekł Stanisław.

— Przepraszam, nie mogę na to pozwolić — przerwał towarzysz dr. Mitręgi. Ten pan — dodał wskazując go — jest uwięziony. Jednocześnie, biorąc dr. Mitręgę pod ramię, wyszedł i wsiadł z nim do powozu. Stanisław trzymał w ręku paczkę banknotów, ale natrętna ta interwencja przedstawiciela władzy, równie jak własne osłupienie, nie pozwoliły mu doręczyć jej uwięzionemu. Słyszał płacz kobiet i kwilenie dziecka z przyległego pokoju. Zrozumiał, że obecność jego była tam zbyteczną, wyszedł i wrócił do domu.

* * *

P. Władysław Smiechowski w istocie nie był tak złym człowiekiem, za jakiego chciał uchodzić. Pożartowawszy trochę ze Stanisława, uściskał go i obiecał mu nawet, że pójdzie dowiedzieć się, czy nie ma jakiego sposobu ratowania dr. Mitręgi. Obietnicę tę wykonał natychmiast, podczas gdy Stanisław, jak gdyby nie wygrał właśnie ćwierć miljona idealników, wrócił do redakcji.

Dla dr. Mitręgi nie było ratunku. Sędzia śledczy miał w ręku kwity, wydane owemu ajentowi banku, a podpisane przez p. Kluszczyńskiego i dr. Mitręgę. Kazał także otworzyć szafkę p. dyrektora Banku Filodemicznego i znalazł w niej księgę, w której ręką dr. Mitręgi wpisane były kwoty, odebrane od ajenta. P. Kluszczyński, przesłuchany w sądzie, dokąd go natychmiast wezwano, oświadczył, że nie odbierał tych pieniędzy, ale że blankiety kwitów z jego podpisem znajdowały się w posiadaniu dr. Mitręgi. Tymczasem doniesiono sędziemu, że dr. Mitręga, zamiast stawiać się na wezwanie, które mu doręczono, wybiera się w drogę. Wskutek tego, proszono p. Kluszczyńskiego, ażeby się zatrzymał »na chwilę« w pokoju sędziego śledczego i uchwalono uwięzić tymczasowo p. Mitręgę, jako podejrzanego o zamiar ucieczki. Uchwały tej niepodobnaby było powziąć i natychmiast wykonać, gdyby nie ów nieszczęsny aksamitny garnitur myśliwski, bez którego p. Mitręga nie chciał ruszać się z Wilkowa. Tak to, każdy człowiek ginie od własnej swojej broni. Bronią dr. Mitręgi był, jak wiemy — *szyk*.

Przed sędzią, dr. Mitręga nie mając pieniędzy, nie mógł wspominać nic o »kasie podręcznej«, w której zostawił je przez zapomnienie. Wpadł na niefortunny pomysł twierdzenia, że pieniądze musiał odebrać p. Kluszczyński. Pytano go dalej, czyli jego zdaniem Bank Filodemiczny nie znajduje się w stanie niewypłacalności, zwłaszcza, iż sąd z porównania ksiąg i stanu kasy odniósł był wrażenie, iż w istocie instytucja ta płaciła wierzycielom swoim procenta pożyczonym od nich kapitałem póty, póki tego ostatniego nie wyczerpała, a obecnie zupełnie niemal pozbawioną jest funduszów. Dr. Mitręga nie umiał w tej mierze dać dostatecznych wyjaśnień, powoływał się tylko na członków Rady zarządzającej, którzy o wszystkiem najlepiej wiedzieć powinni i z którymi, jak powiadał, »musiałby się porozumieć«. Sąd uchwalił wszakże, że najlepiej będzie, ażeby się dr. Mitręga z nikim nie porozumiewał, i w tym celu postanowił zatrzymać go w więzieniu. P. Kluszczyńskiego puszczono do domu, zalecając mu, ażeby się nie oddalał z Wilkowa i gotów był stanąć w sądzie na każde zawołanie.

Najlepiej ponoś będzie, jeżeli opowiem od razu cały przebieg dalszy tej sprawy. W parę dni później, ogłoszono upadłość Banku Filodemicznego, i pociągnięto do odpowiedzialności członków Rady zarządzającej, na majątkach ich zaś zabezpieczono pretensje wierzycieli. Gdy przyszła kolej na majątek p. Kluszczyńskiego, pokazało się, że składa on się ze 150 tysięcy idealników, ulokowanych na pożyczkach hipotecznych i zastawach. Żadna z tych pożyczek nie przynosiła p. Kluszczyńskiemu mniej, niż 36 od sta rocznie, niektóre zaś przynosiły i 50. Z tego powodu, kiedy p. Kluszczyński przy ostatecznej rozprawie sądowej utrzymywał, iż przystąpił do założenia banku jedynie z filantropji i dla ratowania ludu, jakoteż mieszczan, z rąk lichwiarzy, powstał w audytorjum śmiech homeryczny, któremu przewodniczący ani przeszkodzić, ani oprzeć się nie mógł.

Byli zresztą także i tacy złośliwi ludzie, którzy się śmieli, gdy przy tej rozprawie zapytano dr. Mitręgę, na jakim uniwersytecie otrzymał stopień doktora, i gdy oskarżony zmuszony był wyznać, iż nadał go sobie sam, dla »zajmowania się polityką«. Skazano go, równie jak Salewicza, na półtora roku więzienia, za sprzeniewierzenie. P. Kluszczyński wyszedł cało, osobiście przynajmniej — ale okupił to zupełną ruiną majątkową. Został mu tylko dworek na przedmieściu sokołowskiem, jako własność żony. Jeszcze bardziej zrujnowaną majątkowo była pani Natalia — w tydzień bowiem po uwięzieniu jej męża, nastąpiła licytacja rozmaitych jego majątków, które przeszły na własność wierzycieli za sumę, jaką wynosiły ich pretensje. Gdyby zresztą nawet p. Mitręga został był na wolnej stopie, nie byłby mógł nic na to poradzić, ze względu na upadłość Banku Filodemicznego.

Nie było poprostu z czego żyć w owym domku na przedmieściu sokołowskiem. Fantowano się, sprzedawano rzeczy. Najokropniejsza nędza zaglądała w oczy mieszkańcom. Pani Małgorzata nie mówiła wprawdzie głośno, że Pan Bóg ich tak karze za krzywdę Wołodeckich, ale myślała to w duszy. Aż nakoniec, pewnego dnia w lecie, nadeszło do pani Natalji pismo z sądu, w którem jej donoszono, że jakiś pan Noname Nobody, z Ameryki, nadesłał na ręce adwokata Nudzińskiego i złożył do depozytu sądowego sumę 10 tysięcy idealników, którą przeznacza dla jej syna, zostawiając jej dożywotnie używanie odsetków.

Właściwego nazwiska dawcy nie zdradził nigdy dr. Nudziński — zostało ono na zawsze tajemicą, o której oprócz niego wiedziało tylko dwoje ludzi, Stanisław i Marynia...

Nazajutrz zaś po katastrofie, która dotknęła pana Mitręgę, odbywało się w redakcji *Orędowniczki*, mówiąc stylem p. Harapnickiego, wielkie »łajdactwo«, uniewinnione poczęści tem, iż zaczęło się dopiero po ukończeniu czynności redakcyjnych, ale za to o tyle karygodniejsze, że nie składało się wyłącznie z wódki i suchej kiełbasy. Był kawior, były kotlety, było wino, nie jestem zresztą pewny, czy nie było szampana. Powodem tego rozlewu niewinnych płynów było, iż pan Stanisław Wołodecki, występując z redakcji, żegnał swoich kolegów. Brał w tej uczcie udział i p. Władysław Smiechowski, a kiedy koledzy winszowali Wołodeckiemu

bajecznie szczęśliwego zwrotu w jego interesach materjalnych, zawołał:

— Ha, kiedy mu winszujecie wygranej, powinszujcie i mnie zięcia!

Na co Stanisław zrobił niepospolicie niemądrą minę, i zapytał nieśmiało:

— Nie żartujesz?

— Tym razem, nie.

— Kochany Władysławie! — zawołał Stanisław, i rzucił się w objęcia ojcu Maryni.

Faktem bowiem było, że przed dwoma godzinami, Staś i Marynia sami dotychczas nie wiedząc jak i kiedy, najmniej zaś jakiemi słowami, powiedzieli sobie byli to, co oddawna mieli do powiedzenia, poczem poszli wprost z tą nowiną do tatka i do mamy. Mama rozpłakała się z radości, ale tatko kiwał głową i powtarzał że musi się namyślić, że Staś ma wprawdzie dobre serce, ale że można wątpić, czy nie straci majątku, ratując rozmaitych znajomych od kozy, zwłaszcza gdy w gruncie rzeczy w Wilkowie nie można być pewnym rodzonego brata, czy nie zbroił czego zasługującego na zamknięcie. Marynia, która znała ojca lepiej niż ktokolwiek, wiedziała, jak sobie tłumaczyć tę operację, i była bardzo szczęśliwą, a jeszcze bardziej utwierdziło ją w tem szczęściu to, iż ojciec wyszedłszy ze Stanisławem na ulicę, wrócił na moment, wyjął z kasy całe mnóstwo pieniędzy i dał jej do rąk, mówiąc:

— Masz, kup sobie, czego ci będzie potrzeba. — I wyszedł.

Stanisław dopiero przy śniadaniu dowiedział się o zezwoleniu Smiechowskiego, i to w tej formie jaką podałem. Później dowiedział się jeszcze także, że gdyby był nie wygrał wielkiego losu, i gdyby był objawił Władysławowi zamiar wyprowadzenia się z jego domu, daleko widzący ten przyjaciel byłby mu wyrecytował od a do z jak rzeczy stoją, byłby go nabrał z góry, i w końcu — dałby mu był Marynię równie chętnie, jak teraz. Było to świętą prawdą, i niechaj nikt nie myśli, że potrzebowałem aż wielkiej wygranej do pomyślnego po części zakończenia mojej powieści.

Muszę tu zresztą nadmienić, że w Milicji taka wielka wygrana zdarza się nader rzadko, jakkolwiek zdarza się, że ludzie bywają tam szczęśliwi i bez pieniędzy. Wołodecki byłby nim był niezawodnie. Częściej zdarza się tam, że ludzie kończą, a przynajmniej przerywają karjerę w kryminale, jak pan Mitręga —ale też znowu nie wszyscy, czego świadkiem p. Kluszczyński.

Sprowadzono p. Wołodecką, matkę Stanisława, ze Stawiczan. Nie zapomniano o biednej Salewiczowej, chciano nawet podzielić się z nią wygranemi pieniądzmi, ale — co także rzadko się zdarza, nie chciała o tem i słyszeć — mówiąc, że byłaby przez ten czas dziesięć razy sprzedała swój los żydom, gdyby go była miała. Przyjęła wszakże pewną okrągłą sumkę, która ją na zawsze zabezpieczyła od biedy.

Państwo Wołodeccy mieszkają razem z Smiechowskimi, w ich domu, i Marynia prowadzi całe gospodarstwo. Zgoda panuje jak najlepsza, ciekawem bowiem ale niemniej przeto prawdziwem jest fenomen, że zięć nigdy nie wnosi w dom dysharmonji, wnosi ją tylko synowa.

Wielcy ludzie wilkowscy, których mieliśmy sposobność poznać w ciągu tego opowiadania, ucichli mocno w ostatnich czasach. Powiadają, że oddali pieczę nad dobrem publicznem całkowice oberkomisarzowi i oberszpitalnikowi. P. Kluszczyński otrzymał skromną posadę dozorcy targu w Wilkowie, której dochód wraz z tajemniczą darowizną, którą otrzymała pani Natalja, wystarcza na skromne utrzymanie. Nie wiem, czy pani Natalja była bardzo zgorszona dowiedziawszy się, że Wołodeccy do ślubu i od ślubu jeździli fiakrami — wiem tylko, że jest to często jedyny sposób, ażeby ludzie kiedyś z potrzeby nie musieli chodzić piechotą. Nie wiem nakoniec, co pocznie pan Mitręga, wyszedłszy na wolność; przypuszczam atoli, że założy jakieś czasopismo, traktujące o ekonomji politycznej.

A teraz, kiedy mi przychodzi żegnać szanownego czytelnika, pozwolę sobie powiedzieć jeszcze jedno słowo do niego. Oto niewątpliwie tacy ludzie, jakich pokazałem w Milicji i w Landwerji, zdarzają się i gdzieindziej. Każdemu wolno upatrywać podobieństwa i niepodobieństwa w rysach i karjerach — autor wszakże zapewnia, że ani jednej figury nie wziął żywcem ze swego najbliższego otoczenia, i że w ogóle jechać musi naprawdę aż do Milicji i Landwerji ten, kto chce zobaczyć prawdziwego Mitręgę, Ciemięgę, Bombogromskiego, Kluszczyńskiego itp. albo też dowiedzieć się, na jaką zwierzynę i gdzie poluje obecnie hr. Skirgiełło.

KONIEC.

ZE ŚWIATA.

Sara Bernhardt w Genewie. — Cudo. — Artystka a kontrakty. — «Toute Genève.» — Talent Sary B. — Dźwięk głosu. — Sara B. a kredyt robotniczy — Spółka guizańska. — Familister. — Akt notarjalny. — Kredyt robotniczy. — Indywidualizm. — «New-York-Herald.» — Jedna próba nie wystarcza. — O poglądach jednostronnych. — O lekarstwach na choroby społeczne. — Precz z mjęsem! — Dar dra filozofji. — Precz ze wstydem! — Zamiast złego, gorsze. — O reformie społecznej w zastosowaniu do języka.

Zacznę chyba od pani Sary Bernhardt. Pod gry jej zostaję wrażeniem. Poróżniła się w Paryżu z dyrekcją Komedji francuskiej; pozwaną przez nią została przed kratki; skazano ją na zapłacenie kary pieniężnej w wysokości 100,000 franków; pogniewała się na sądy, na Paryż na Paryżanów; opuściła stolicę Francji; opuszczając takową, otrzepała kurz z trzewików i puściła się w objazd po kuli ziemskiej, zabrawszy ze sobą jeno, na wydatki podróży, mającej — jak mówią — skończyć się tam gdzie na nią wyrok natury zawoła „stój, śmiertelnico!“ — talent swój. W objeździe zawadziła o Genewę. A że Genewa posiada teatr wspaniały, wystąpiła przeto na deskach scenicznych i powyżej zanotowany autor „Ze świata“ miał zaszczyt widzieć i słyszeć to cudo.

Cudem jest — ani słowa. Z nami, śmiertelnikami zwyczajnymi, łączy ją jeno podobieństwo kształtów. Należy do rodzaju człowieczego, to rzecz pewna, — zresztą jednak stanowi gatunek osobny, który określić się da w ten chyba sposób, że osobistość ta jest wcieleniem żywem chimeryczności. Sądząc o tem wedle biografji Sary Bernhardt, skreślonej przez p. F. Sarcey, który ją podaje za istotę wyjątkową; wyjątkową atoli nie sama przez się, lecz rodem. Jaką była matka jej i babka, taką jest ona. Chimeryczną uczyniło ją prawo dziedziczności, które nadało jej piętno odrębności charakterystycznej, ciekawej i dziwnej, odznaczającej się szczególnie nadzwyczajną zmiennością upodobań. Sama ona nie wie, czy tego, co jej się podoba bardzo w momencie, nie znienawidzi za chwilę. Kapryśna, niespokojna, tak dalece porywcza, że kroniki zakulisowe zapisały na rachunek jej policzkowanie koleżanek, wszystkiego się chwyta i na wszystkiem wyciska cechę indywidualności własnej. Jest ona zarazem i artystką dramatyczną, malarką, rzeźbiarką, pisarką, damą wielkiego świata, cyganką — wszystkiem słowem, czem jeno być może w sferze, w której się obraca. Ustawicznie w niej coś świdruje; rzuca jedno, bierze się za drugie; na miejscu posiedzieć w żaden nie może sposób; co zaś ją najbardziej niecierpliwi i gniewa, to zobowiązania kontraktowe, jakie dyrektorowie teatrów mają zwyczaj zawierać z artystami. To też kontraktu nie dotrzymała żadnego, a złamanie pierwszego odbyło się tak, że wieczoru pewnego, zamiast udać się w Paryżu do teatru, w którym publiczność na wystąpienie jej czekała, pojechała do Hiszpanji, nie opowiedziawszy się nikomu. Odgadnięcie jej jest zadaniem nie do rozwiązania dla nikogo, a najprzód dla niejże samej.

Taka to osobliwość wystąpiła na deskach teatru genewskiego w dwóch sztukach, znanych w Warszawie doskonale, w Adrjenne Lecovreur i we Frou-Frou. Ceny miejsc podniesione w trójnasób prawie, nie przeszkodziły temu, że bilety rozchwytane zostały na tygodni parę przed przybyciem artystki do stolicy Kalwina. *Toute Genève* stawiła się na wezwanie, a niejeden z Genewczyków dobry zrobił interes, odstępując w chwili ostatniej cudzoziemcowi bilet swój za cenę dziesięć razy wyższą. Na bilety odbywała się licytacja. Teatr oblegały tłumy niedopuszczonych do przekroczenia progów świątyni. Wszystko to odbyło się w porządku takim, jak zazwyczaj w wielkiem mieście, którem Genewa nie jest, jeżeli weźmiemy na uwagę cyfrę ludności jej, którem atoli jest z powodu położenia swego centralnego, czyniącego z niej etapę wielkiego świata. Wzmiankuję o szczegółach tych dla tego, żeby dać poznać, jak Sara Bernhardt ceniona jest w Europie.

Cenioną jest dla talentu — talentu rodzaju tego samego, jakim się odznacza Modrzejewska. Są to spółzawodniczki. Paraleli pomiędzy niemi przeprowadzić nie mogę; losy mnie upośledziły — Modrzejewskiej nie słyszałem i słyszeć zapewne nie będę nigdy. Warszawianin pewien, któremu udało się być w Genewie na przedstawieniu Sary Bernhardt, zaręczał, że pomiędzy nią a Modrzejewską nie zachodzi różnica najmniejsza: ta sama ekspresja, te same ruchy, te same giesty — gra cała taka sama, z wyjątkiem głosu — głosu,

*

który je różni, a który według mnie, stanowi zaletę najgłówniejszą i urok największy artystki francuskiej. Gra? — ta znakomitą jest, aleby na rzesze nie działała tak silnie, gdyby nie dźwięk głosu istotnie czarujący. Brzmi on pod sklepieniem sali, czysty i srebrzysty, tak wyraziście, że gdy artystka szepce, to zdaje się, jakoby szeptała słuchaczowi, każdemu z osobna, do ucha. Żaden wyraz, zgłoska żadna nie ginie; westchnienie najlżejsze idzie wprost pod adresem tych, do których należy. Nie jest to śpiew; śpiew jednak — śpiew mówiony, deklamacja, zmieniająca wyrażenie najpospolitsze w wyrażenie znaczenia i uroku pełne. Sarcey powiada, że w ustach jej poezja najlichsza staje się szczytną. Wierzę temu, sądząc wedle akcentu, jaki ona nadaje prozie tak mało poetycznej, jak ta, która wyszła z pod pióra Scribego i Legouvégo. Jest to dar natury, którego nabyć nie można. Dar ów wynagradza i osłania niedostatki wszelkie, jakich nie brak w postaci artystki. Słuszna, chuda, niekonieeznie ładna, nie czarowałaby, gdyby słuchaczom do duszy dźwiękiem głosu przenikać nie umiała i gdyby — rozumie się — nie grała tak znakomicie, nie przejmowała się tak głęboko rolą swoją. To ostatnie — zajmywanie się rolą — posuwa do stopnia tak wysokiego, że odchorowuje każde, w którem udział bierze, przedstawienie.

Skończyłem o Sarze Bernhardt; pod jej atoli pozostając urokiem, nie mogę usunąć jej z myśli całkowicie i nie domieszać do tego, o czem pisać następnie zamierzam, a co na pozór, nie ma z nią styczności najmniejszej. Zamierzam pisać o kredycie robotniczym. Sara Bernhard a kredyt robotniczy: zachodziż tu związek jaki? Zachodzi przypadkowy, wysuwający się ztąd, że rzecz o kwestji kredytu robotniczego zaczerpnąłem ze sprawozdań zakładu przemysłowego w Guise (Oise), znajdującego się pod dyrekują pana Godin, który twierdzi, że rozwiązał problemat ważny stosunku kapitału do pracy, zakładając tak przezeń nazwany „Familister.“ Gdym czytał o familisterze owym, mimowolnie cisnęło mi się do myśli zapytanie: czy w zakładzie tym regularnym, porządnym, idącym według zegarka i nie cierpiącym zboczeń, ani wybryków żadnych, znaleźćby się mogło dla takiej, jak Sara Bernhardt, chimerycznej kapryśnicy, miejsce? Na coby się ona tam przydała? Przydałaby się może do teatru zakładowego, gdyby się związać dała kontraktem — inaczej — gdyby natura nie obdarzyła jej indywidualizmem potężnym, nie dającym się nakłonić do reguły zegarkowej i wytykającym dla osobistości jej drogę własną. Nakłonićby ją zdołała sama tylko przemoc, która złamałaby ją. Niewolnica — ani grać, ani prząść nie byłaby w stanie — stałaby się zerem, niczem, istotą nieprzydatną na pomywaczkę nawet. Czy takim jest cel reformy społecznej, zapowiadanej przy odgłosie bębnów i bębenków? Zauważyć przytem należy i to, że coby spotkało ją, spotkałoby oraz i cały ten świat indywidualistów, których natura, przy pomocy wymóg cywilizacyjnych i warunków postępowych, uczyniła nie przędzalnikami, ale artystami, uczonymi, instrumentami piękna, poszukiwaczami prawd, urabiaczami wynalazków. Coby ci biedacy, mający równe z robotnikami prawa w klatce familisteru poczęli? „Precz z nimi!“ — chyba że tak. Jest to sposób jedyny rozwiązania na drodze kollektywistycznej problematu społecznego. Sposób to za radykalny trochę; konieczny jednakże w razie, jeżeli zastosowaniu onego... rozum na zawadzie nie stanie.

Z tem wszystkiem familister guizański na uwagę zasługuje, a to dlatego właśnie, że nie jest on literalnem sposobu wyżej wzmiankowanego zastosowaniem. Jest to zakład nie tyle kollektywistyczny, co spółkowy, oparty na podstawie stowarzyszenia kapitału i pracy. Kapitał i praca stanęły wobec siebie, jak równy wobec równego, i zawarły układ dobrowolny, usuwający z góry przewagę jednej strony nad drugą. Kapitał — fundusz nakładowy i narzędzia — wziął na się charakter kredytowy. Spółka zaciągnęła pożyczkę u samej siebie, za pośrednictwem pana Godin, który, sam robotnik, spólnikiem jest na równi z tysiącem dwiestu innych, spólnikiem, dostającym proporcjonalnie do wkładanej pracy część swoją zarobku i część swoją zysku.

Zakład nazywa się „familisterem“ dlatego, że zawiera w sobie nietylko fabryki, ale także i pomieszkania dla spólników, zajmujących apartamenta wygodne i hygienicznym warunkom zadość czyniące. Ma to pozór hotelu olbrzymiego, podzielonego na numera, większe i mniejsze — większe dla rodzin, mniejsze dla mężczyzn bezżennych i kobiet niezamężnych. Jedzenie dla wszystkich gotuje się w kuchni wspólnej i spożywa w jadalni wspólnej; wydziałem tym zawiadują robotnicy sami, za pośrednictwem rady gospodarczej, utrzymującej rachunki i czyniącej repartycję wydatków pomiędzy członków, którzy atoli nie są do spólnictwa tego zobowiązani: kto chce, prowadzić sobie może kuchnię osobno, czerpiąc wiktuały ze źródeł tych samych, z których czerpie zakład mięso z zakładowej rzeźni, opał, światło, jarzyny i leguminy z zakładowych składów, chleb z zakładowej piekarni. Zakład zaopatruje także spólników w artykuły odzienia z pierwszej ręki, posiada przytem dla dzieci szkołę, w której nauka udziela się bezpłatnie, dla chorych szpital, w którym bezpłatnie leczą, dla wszystkich sale do zabawy, park do przechadzki, czytelnię, gimnastykę, kręgle etc., etc. Pomoc w razie choroby, emerytura na starość, zapewnienie przyszłości dzieci, obok tego ułatwienia wszelkie w czynieniu oszczędności: oto są korzyści, jakie osięgają członkowie spółki, istniejącej już od lat dwudziestu kilku i w roku bieżącym uregulowanej ostatecznie aktem notarjalnym, obowiązującym prawnie. Czytałem akt ten. Na mocy onego, zakład przemysłowy przechodzi całkowicie na własność spółki, która będzie takowy prowadzić nadal sama przez się. Wartość onego hipoteczna wynosi 4 600,000 franków. Wartość ta rozciąga się na dwa zakłady: jeden, pierwotny, w Guise, drugi, będący niejako filią tamtego, w Belgii, w pobliżu Laeken, nieopodal od Brukselli. I ten i ów znajdują się w stanie kwitnącym — *ils rapportent* — że zaś w możności są produkować taniej i lepiej, aniżeli inne, nie lękają się przeto spółzawodnictwa na tak długo, aż na podstawach takichże powstanie zakładów więcej, co gdy nastąpi, będzie to oznaką regulacji stosunku pomiędzy kapitałem a pracą na podstawach dla tej ostatniej dogodniejszych, aniżeli obecnie.

P. Godin nie pragnie czego innego: widać że się regulacji tej nie lęka. Jest on tego przekonania, że przemysłowość cała zreformowaćby się mogła na wzór i podobieństwo familisteru guizańskiego, byleby jeno praca uzyskała to, czego jej kapitał z wytrwałością lepszej godną sprawy odmawia, a mianowicie: kredyt. Pan G. nie co innego zrobił, tylko kredyt otworzył. Prawda, że nad nim przez lat dwadzieścia sam czuwał, ale czuwał z troskliwością matki, hodującej niemowlę. Wyhodował dziecko swoje; wyhodował je i w świat puścił. Pytanie: co będzie dalej?

(Dokończenie nastąpi.)

Z wystawy sztuk pięknych.

(Dokończenie).

Z porządku rzeczy zwrócić się nam należy do rzeźby. O ile malarstwo w sztuce tworzy dla siebie zupełnie odrębną całość, przemawia samo tak techniczną jak i duchową stroną, o ile tworzy całość abstrakcyjną, uzupełniającą się nawzajem rysunkiem, kolorem i światło-cieniem, o tyle rzeźba znajduje się w trudniejszych warunkach, opiera się bowiem z jednej strony o architekturę, a z drugiej o malarstwo. Tak jak rzeźba, pomijająca kardynalne warunki architektonicznej treści, traktowana po malarsku, ubiegająca się tylko o efekt kolorystyczny, jest ostatecznością — ekstremem — tak i rzeźba, bez poczucia kolorystyki jest suchą, bezbarwną masą. W ostatnim dziesiątku lat rzeźba nasza zrobiła wielki krok naprzód. Jakkolwiek nie mamy jeszcze rzeźbiarzy czysto monumentalnej oddających się sztuce, jakkolwiek artyści nasi nie mogą oddawać się jeszcze specjalnie obranym przez siebie gałęziom, jak rzeźbiarze francuzcy lub niemieccy, jednakowoż są już i tego pierwsze początki. Jako portrecistów mamy znakomitego *M. Guyskiego* i *Riegera,* jako ornamentystę p. *Markoniego,* a nie zbywa nam także i na artystach rzeźbie romantycznej hołdujących, jak pp. *Gadomski, Trembecki* i inni. Są to jednakże pierwsze dopiero zastępy, po których inni kiedyś prawdziwą wielką sztukę rozwinąć będą mogli.

Na wystawie ostatniej skromna tylko liczba artystów rzeźbiarzy udział brała. Nie spotykamy się tam bynajmniej z koryfeuszami polskiego dłuta, znajdujemy natomiast coraz to powiększający się zastęp pp. amatorów płci obojga, o lepsze z sobą walczących. Z grona artystów wystawili swe prace pp. *Bara̧cz, Mikulski, Błotnicki, Jarzymowski* i *Kozakiewicz.*

Prace p. *Bara̧cza,* znanego z wystaw tutejszych od lat kilku artysty, znamionują obszerny talent, umiejętność podpatrywania natury i wielką łatwość tworzenia.

Twórczość ta jednakże jest często powodem zbyt lekkiego, pobieżnego traktowania, a kierunek realistyczny, jaki sobie artysta obrał, powodem poświęcania piękna dla prawdy. Z pomiędzy innych, jednem z lepszych dzieł jego na ostatniej wystawie był portret Deaka. Portret ten w formie kolosalnego biustu przedstawiony, szeroko i śmiało traktowany, zdradzał ubieganie się o pewną monumentalność. Czystość rysunku i wyborna charakterystyka portretu, dobrze świadczyły o talencie autora. Nie da się jednak tego powiedzieć o innych pracach p. *Bara̧cza,* a mianowicie o główce pt. „Sen w kwiatach“. Wykonanie pobieżne, a nawet i niedbałe, w pojęciu rzecz cała niejasna. To samo uderzało nas w

dwóch szkicach, z których jeden „Giermka“ drugi „Koszykarza“ przedstawiał.

P. *Mikulski*, który w roku przeszłym bardzo dobre studjum wystawił, w tym roku wystąpił z portretem p. J. N. z O. Gniewosza. Charakterystyczne rysy portretowanego, wdzięczne bardzo dla artysty przedstawiały pole. Chlubnie się też z niego wywiązał. Jako wielką zaletę podnieść musimy miarę, jaką p. *Mikulski* zatrzymać umiał w traktowaniu. Obawa tu zachodziła o umiejętne zatrzymanie się między realizmem a przesadnym klasycyzmem. Miarę tę artysta znakomicie zachował, jakkolwiek z drugiej strony samo wykończenie portretu wiele do życzenia pozostawia.

Nader oryginalną kompozycję wystawił p. *Jarzymowski*. Była to mała figurka zatytułowana „Lunatyk“. Artysta przedstawił chorobliwego chłopca, który wspiąwszy się na sygnaturkę kościoła, oplątał się w sznury już poruszającego się dzwona. Za chwilę obudzi się, aby śmierć znaleźć. Figurka ta, tak treścią jak i w linjach oryginalna, dziwnie też oryginalne robiła wrażenie. O ile jednakże odrębny talent p. *Jarzymowskiego* z łatwością potrafił tu przełamać trudności kompozycyjne, o tyle widoczna jest tam ciężka jego praca pod względem wykonania. Technika u p. *Jarzymowskiego* razi surowością, ciału brak miękkości, delikatności i prostoty w linjach.

P. *Kozakiewicz*, snycerz z zawodu, wystawił portret J. I. Kraszewskiego. Portret to doskonale schwycony, mimo trudności, jakie materjał (drzewo) przedstawiał.

Do znanych więc już przez krytykę literacką i przez opinję publiczną ocenionych prac zaliczyć musimy utwór p. *T. Błotnickiego*, model „Świtezianki“, „Akteona“ ś. p. *Jaskólskiego* i „Mnicha“ p. *T. Wiśniowieckiego*.

Grono amatorów w rzeźbie licznie w tym roku wystąpiło, a komisja znawców chyba tylko przez wzgląd na dyletantyzm, krytyce niepodlegający, i na płeć piękną, pracom tym z uprzejmością wyznaczyła miejsce na wystawie. Całemu temu gronu przypomnieć sobie pozwolimy stare: »*Ars longa — vita brevis*«.

B.

TEATR.

W ostatnich dwu tygodniach repertoar naszego teatru znacznie się ożywił, a to skutkiem powrotu na scenę państwa Kwiecińskich, p. Parżnickiej i p. Woleńskiego. Ujrzeliśmy zatem znowu kilka wybornych sztuk, oddawna nie przedstawianych dla chwilowego braku stosownej obsady. Mamy tu przedewszystkiem na myśli słynne komedje francuskie jak „Szklanka wody“, „Diana de Lys“ a wreszcie jeden z najlepszych nowoczesnych dramatów: „Skazany na całe życie“. Publiczność miała już niejednokrotnie sposobność podziwiać znakomitą grę artystów naszych, występujących w głównych rolach sztuk wyż wymienionych, poprzestajemy więc tylko na tej pobieżnej notatce, a natomiast chcemy zwrócić uwagę na braki, których się jeszcze dyrekcji nie udało dotąt usunąć. I tak po ustąpieniu z naszej sceny p. German i p. Zimajer, dotąd nie znajdujemy jeszcze w personalu żeńskim artystki do charakterystycznych ról kobiecych, ani też do ról z zakresu komiki niższej. Pani Dudtów i p. Sułkowska, na których barki spadło to ciężkie zadanie, w żaden sposób nie zdołają sprostać wybredniejszym nieco wymaganiom. Pierwsza — aczkolwiek zdradza wiele dobrych chęci, zdaje się nie posiadać odpowiedniego zapasu talentu dramatycznego do oddawania ról charakterystycznych, co jest zadaniem wcale nie łatwem; najlepszym tego dowodem blado odegrana rola gospodyni w dramacie „Skazany na całe życie“. Brak wyrobionej mimiki w twarzy, głos nie zawsze dość posłuszny nastrojowi roli, a zresztą szablonowe, prawie zawsze te same giesta i ruchy, to są szkopuły, o które i najlepsze chęci się rozbijają. Potrzebaby tam jeszcze wiele pracy, gdy tymczasem dyrekcja zanadto obciąża panią Dudtów coraz nowemi rolami, nie dając jej ani czasu ani sposobu do powolnego rozwoju i odnośnych studjów.

P. Sułkowska zapomina często, że jest na scenie i czasem poświęca więcej uwagi amfiteatrowi niż roli, wynikiem zaś tego bywa, że w jej grze trudno dopatrzeć się postępu.

Skorośmy już zaszli do tak drażliwych i niebezpiecznych uwag, posuniemy się jeszcze jeden krok dalej. Zdarza się u nas — zdarzyło się nawet dopiero zeszłego tygodnia, że drobne rólki niewieście powierza się czasem wcale niewłaściwym rękom, dlatego, że bardziej rutynowane artystki czułyby się obrażone przydzieleniem sobie roli tak podrzędnej. Skutkiem tego, z największym uszczerbkiem dla sztuki a krzywdą dla autora, nieraz w drobnych ale mimo to zarówno wykończonych i sumiennej gry wymagających rolach, spostrzegamy kogoś, komu, co prawda, prześlicznie w mundurku, „Kadeta okrętowego“ lub w kostjumie studenta z „Boccacia“, ale natomiast bardzo niewygodnie w roli, wymagającej choć trochę talentu dramatycznego. Prawdziwa artystka przyjmie z chęcią najdrobniejszą rolę, choćby ona nie dawała najmniejszego pola do popisu, a zrobi chętnie tę ofiarę dla sztuki, bo nie zniesie, aby swem egoistycznem ociąganiem się, dopuścić do popsucia efektu całości. Jak w symfonji muzycznej, tak w ensemblu dramatycznym razi niemile fałszywy ton, choćby najcichszy!

Ale również niemile rażą w czasie przedstawienia także inne uchybienia, które jednak wcale nie tyczą się już artystów lecz dyrekcji. Mówimy tu o wielkiem zaniedbaniu sceny pod względem dekoracyjnym. I tak na ostatniem przedstawieniu „Szklanki wody“ w oknie sali tronowej pałacu królowej Anny były tylko cztery szyby, reszty brakowało, a względnie z ram okna wisiały tylko strzępy płótna, szyby przedstawiającego; podobne strzępy wiszą u drzwi koło klamki, które do tego nieraz wśród najdramatyczniejszych scen wydają za każdem poruszeniem przejmujący zgrzyt zardzewiałych zawiasów. Moglibyśmy tu jeszcze spisać wiele podobnych braków, nie licujących ze stołeczną sceną, a dających się usunąć bardzo małym wydatkiem i odrobiną uwagi pod tym względem. Nie mówimy już o innem, wiecznie powtarzającem się złem, tj. o niezmiernie długich entreaktach, będących także jednym z powodów ociągania się publiczności w uczęszczeniu do teatru, bo dzięki temu niedbalstwu, reprezentacje przeciągają się bardzo często dobrze poza godzinę dziesiątą. Zważywszy, że każdy, kto udaje się do teatru z rodziną, radby po przedstawieniu zjeść jeszcze wieczerzę, pojmujemy wstręt gospodyni domu do rozrywki, zakłócającej zwykły porządek domowy niemal do północy.

Ale przejdźmy teraz do sztuki p. n. „Spirytyści“ przedstawionej po raz pierwszy na naszej scenie dnia 20. b. m.

* * *

Dlaczego właściwie tłómacz p. C. Danielewski tytuł niemieckiej komedji Gustawa Mosera „Der Bibliotekar“ przechrzcił na „Spirytystów“, nie pojmujemy, gdyż z pomiędzy kilkunastu osób, występujących w sztuce, spirytyzmem zajmuje się jedynie stara guwernantka. W ogóle śmieszna mania spirytyzmu jest tu tylko pobieżnie dotknięta i stoi na najdalszym planie, osią zaś całej intrygi jest niewyczerpane w komedjach qui pro quo. Osnowa sztuki zanadto jest zawikłana, abyśmy się tu kusili o jej reprodukowanie; wolimy raczej zrobić kilka uwag o jej duchu i wartości, gdyż pod tym względem będą się niezawodnie ścierały wręcz przeciwne zdania. Naszem mniemaniem złożyły się tu na całość dwa odrębne żywioły: farsa i komedja salonowa; złączenie w każdym razie dość niezwykłe.

Przypadek a raczej przyjacielska przysługa każe młodemu lordowi Lotarowi (p. Lubicz) przyjąć w domu lorda Marslanda rolę świeżo angażowanego a nieznanego nikomu bibljotekarza Roberta (p. Walewski.) Lotar robi w ten sposób znajomość z Edytą (p. Wisnowska), córką lorda Marslanda, a ujęty jej pięknością i przymiotami duszy, zrzuciwszy incognito, prosi o jej rękę. Prócz Ewy Webster (p. Kwiecińska), Henryka (p. Kwieciński), synowca lorda Marslanda, a wreszcie samego lorda Marslanda (p. Podwyszyński) i Roberta, bibljotekarza, wprowadzonych jedynie jako figury pomocnicze dla tem łatwiejszego osnucia intrygi, wszystkie inne postaci, zwłaszcza krawca Gibsona (p. Zamojski) i Sary Gildern (p. Dudtów) guwernantki, są tylko drugą stroną medalu, tj. akcesorjami farsowatemi, nie wchodzącemi wcale w integralną, psychiczną całość sztuki. Wobec takiej budowy sztuki było rzeczą reżyseryi rozstrzygnąć, czy ma się zapatrywać na rzecz jako na lekką, wesołą komedją, czy stworzyć z niej farsę w całem tego słowa znaczeniu. Nie pojmujemy dla czego przemogło to drugie zapatrywanie, dość, że ujrzeliśmy na scenie — farsę. Zapatrując się na grę artysów z tego stanowiska, musimy przyznać, że grali wybornie, akcja rozwijała się szybko, szarżowano z wielkim humorem, ale właśnie dla tego zatracono niejedno szlachetne piętno sztuki, akcentując natomiast tylko grubsze efekta. Rozstrzygnął w tej mierze akt trzeci a zwłaszcza gra dwojga głównych bohaterów, panny Wisnowskiej i p. Lubicza. Podczas kiedy autor chce, aby w tym akcie przypadkowe zrządzenie losu wzniosło się do wysokości psychicznego motywu, którego wynikiem staje się obopólne wyznanie prawdziwej, rzecby można instynktowej miłości, niewłaściwe nadanie całej sztuce charakteru farsy, napiętnowało i tę, niezaprzeczenie najpiękniejszą chwilę stemplem parodji. Zamiast tkliwej, z wewnętrznem ciepłem i psychiczną prawdą odegranej sceny, ujrzeliśmy płoche, udane umizgi jakich młody, trzpiotowaty lord mógłby sobie wprawdzie pozwolić — ale nie w salonie, tem mniej wobec dobrze wychowanej córki zamożnego domu. Nie wahamy się tego wytknąć

p. Lubiczowi, gdyż tu nie zgadzamy się wcale z jego zapatrywaniem.

Zresztą grał p. Lubicz ze zwykłą sobie werwą i zasłużone zbierał oklaski. Dzielnie mu sekundowały p. Woleńska i p. Wisnowska, zwłaszcza ta ostatnia, o ile nie wykolejało jej z szlachetnie pojętej roli; odmienne pojmowanie rzeczy przez jej kochanka. P. Zamojski był w charakterystyce, ruchach i grze wybornym, chociaż na naszym gruncie niezwykłym krawcem. Bardzo dobrą figurę stworzył też p. Walewski, jako Robert. O ile nie aprobujemy przesadnego zgarbienia i przesadnych czasami ruchów, musimy z uznaniem podnieść wystudjowaną, charakterystyczną mimikę. Rola Roberta będzie niezawodnie jedną z najlepszych kreacyj p. Walewskiego. W ogóle radzilibyśmy panu Walewskiemu próbować częściej sił w rolach charakterystycznych, a pewnie doprowadzi w tym kierunku do niepospolitych rezultatów. Pan Pieniążek był wcale dobrym Amerykaninem, a pani Dudtów spełniała sumiennie wszystko, co leży w zakresie jej możności. Inne role nie nastręczały pola do popisu. Pp. Ruszkowski i Szobert mogą mieć słuszną pretensję do garderobiera, gdyż obaj młodzi lordowie w tandetnych czerwonych frakach byli o wiele podobniejsi do swoich obdartych hajduków, niżeli do siebie samych. Sztuka w ogóle poszła gładko i możemy ją śmiało polecić zwolennikom szczerej wesołości i serdecznego śmiechu, tembardziej, że mimo swego wesołego tempa, w niczem nie uchybia przyzwoitości.

R. St.

Kronika Tygodniowa.

Na medal pamiątkowy 50-letniej rocznicy powstania listopadowego z roku 1830, złożyli w redakcji „Tygodnia Polskiego“, w dalszym ciągu przedpłatę: *WW. Władysław Kociubiński z Krzeszowic; S. S. ze Lwowa; Józef Teodorowicz z Rusowa; Mikołaj Sandorski z Wiżnicy.*

* * *

Codzienny żywot lwowski, skrapiany łzami jesiennego deszczu, w ubiegłym tygodniu zajmowali przedewszystkiem literaci i artyści, odbywszy dwa walne zebrania. Koło literackie, uzyskawszy zatwierdzenie swoich statutów, dopełniło wyborów prezesa i wiceprezesa, tudzież komitetu, powoławszy na tę godność p. profesora Liske, a na wiceprezesa hr. Aleksandra Fredrę. Statut Koła literackiego, jak każdy statut, ma tylko ogólnie nakreślony program swoich czynności, zatem od nadania pewnego kierunku zajęciom Koła, może ono z pożytkiem dla uczestników i dla literatury funkcjonować. Pod tym względem przyznajemy, że różne są opinje członków: jedni życzyliby sobie, żeby to Koło było miejscem zebrań, gdzieby po mozolnej pracy domowej mógł każdy znaleźć przyjemną, wesołą i dowcipną pogawędkę, rodzaj odpoczynku, drudzy znów chcą, aby Koło literackie wzięło na swe barki pracę około podniesienia ojczystej literatury, szczególniej w zakresie beletrystyki, poezji, sztuki dramatycznej i sztuk pięknych, to jest tej pracy, którą nie zajmuje się akademja umiejętności. Do zakresu tego weszłyby zatem recenzje pojawiających się utworów, dyskusja nad niemi i rozstrzyganie sporów tak zwanej krańcowej krytyki, pojawiających się coraz to częściej tak u nas jak i w Królestwie. Dalej protegowanie i popieranie nowo - pojawiających się pracowników na niwie literackiej, zwłaszcza obdarzonych talentem, ocenianie rękopismów podawanych do druku, urządzanie odczytów i w ogóle kierowanie tak zwaną opinją literacką.

Nam się zdaje, że jeden i drugi kierunek powinien znaleźć miejsce w zajęciach Koła literackiego, aby tylko dobra wola i dotychczasowa harmonja między członkami chciała trwać dalej. Literaci, jak wiadomo, są istotami o bardzo drażliwym ustroju nerwowym; i pod tym względem mają wiele podobieństwa do płci pięknej, z tą tylko różnicą, że w nich nie chcą się ludzie tak kochać, jak w kobietach — widocznie brak im jest kokieteryjnego usposobienia — i na to właśnie zwracamy ich uwagę.

Drugie walne zebranie tak zwanego Kasyna literacko-artystycznego jeszcze nie zdołało się ukonstytuować, odraczając tę sprawę do 15. listopada. Sama nazwa kasyna już wskazuje przeznaczenie tej przyszłej instytucji, która chce wystąpić z odpowiedniem urządzeniem lokalów, w którychby uczestnicy inteligentni znaleźć mogli wszelkie właściwe sobie przyjemności, koncerta, zabawy, odczyty, przedstawienia amatorskich teatrów i tym podobne rozrywki. Widzimy zatem, że jedna i druga powstać mająca instytucja ma swoje zadania do przeprowadzenia, zadania podzielone a nawet wzajemnie się dopełniające, i jeżeli teraz jakieś inteligentne indywiduum we Lwowie może powiedzieć, że się nudzi, to niech bez wielkiego namysłu idzie do Pełczyńskiego stawu i losy swoje powierzy falom wodnym, dopóki mróz nie nastąpi. Lecz co na to wszystko (to jest na Koła i Kasyna, a nie topienie się) powiedzą żony, córki i matki inteligentników, skazane na wcale nieinteligentne spędzanie wieczorów w domu? Ha, ja nic na to nie poradzę. Niech także pozakładają kasyna naprzykład „pięknych kobiet“, „młodych mężatek“ lub „wesołych kumoszek“, zresztą o nazwę się nie sprzeczam, a jestem przekonany, że na uczestniczkach im we Lwowie nie zabraknie. Proszę was, co by to za furorę zrobił taki klub „pięknych kobiet“, gdzieby balotowano tylko takie uczestniczki, które rzeczywiście na to miano zasługują. Wyobrażam sobie przytem, jaki to byłby natłok członków płci brzydkiej, pragnących dostać się do tak uroczego eldorado. W dwa tygodnie po założeniu takiego klubu wszystkie inne kasyna we Lwowie zostałyby puste, dezercja starych i młodych, literatów i uczonych, byłaby przerażająca, chyba zostaliby tylko starcy i ociemniali, bo gadajcie sobie co chcecie, piękność ma swoje prawa dawniejsze niż świat, nawet więcej niewzruszone, niż tablice Mojżesza, i bądź co bądź, bardziej pociągające, niż wszystkie rozumy męzkie razem wzięte. Zatem, szanowne czytelniczki, daję wam broń gotową do ręki, nawet broń przeciw sobie samemu. Nie potrzebujecie nawet nią rąbać, dość będzie pogrozić i wstrząsnąć, a wszelkie statuta waszych zbuntowanych poddanych pójdą na wieczny spoczynek, lub do obwijania winogron na stragany bojków z Bernardyńskiego placu.

W ostatnich dniach niektóre pisma nasze podniosły głos w sprawie zmiany godzin lekcyj w szkołach tutejszych, zwłaszcza podczas zimowych miesięcy. Wiadomo, że u nas gmachy, mieszczące wyższe i średnie zakłady naukowe skupione są prawie w jednej części miasta, ztąd niektórzy z uczniów, szczególniej z przedmieścia, pół mili i więcej mają do szkoły. Odbywanie cztery razy na dzień takiego kursu o zmroku rano i wieczór, naraża tych biedaków na zimno, szarugę, wstawanie do dnia, a rodziców na przewrot całego porządku domowego — gdy tymczasem wyznaczenie godzin nauki od 9tej do 2giej raz na dzień, usunęłoby te wszystkie przeszkody. Jeżeli na tem straciliby uczący się kilka godzin tygodniowo, to łatwo możnaby im to wynagrodzić zniesieniem jednej rekreacji. Zresztą żądanie nasze nie jest żadną nowością, we wszystkich szkołach pruskich od kilku lat istnieje ten zwyczaj, w Warszawie toż samo zaprowadzono, jak i tu we Lwowie w pensjonatach prywatnych — zatem okoliczność powyższą przedkładamy do uznania Rady szkolnej z zapewnieniem, że uczniowie, rodzice i profesorowie tylko wdzięczni będą za podobną reformę.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** „Satyry obyczajowe“ M. Rodocia wyszły z druku w taniem wydaniu Bibljoteki Mrówki, jako 101 tomik tego wydawnictwa.

*** „Szkice z Anglji“ Sewera, znane w urywkach naszym czytelnikom, drukuje obecnie w całości Ateneum. Szkice te zostały przez warszawską publiczność nadzwyczaj sympatycznie przyjęte, spodziewać się więc należy, że znajdzie się nakładca, który je wyda w oddzielnej książce.

*** Autor *Marzycieli* Józef (Rogosz), napisał nową dwutomową powieść, p. t. „Zdrajca“ osnutą na tle współczesnych stosunków społeczno-politycznych. O ile nam wiadomo, porusza w niej trzy sprawy pierwszorzędnej doniosłości: Sprawę żydowską, sprawę polityki polsko-austrjackiej i polityki rosyjsko-polskiej. Powieść ta pojawi się jeszcze w ciągu b. r. w jednem z pism lwowskich. — Tenże autor drukuje obecnie w poznańskim *Dwutygodniku dla kobiet*, powieść osnutą na tle wypadków z przed r. 1848, pt. „Ostatni szlachcic zagrodowy.“

*** Poznański archiwarjusz dr. Meyer, napisał Historję Księstwa Poznańskiego, która wyjdzie nakładem księgarni Jolowicza.

*** Kazimierz Kaszewski przełożył dwie tragedje: Hebbla „Judytę“ i Heysego „Elfrydę“, dla teatru Warszawskiego.

*** P. Michał Bałucki napisał nowellę „Męczennica“.

*** P. Zofja Mellerowa napisała dwie nowe komedje: „Poranek muzyczny“ i „Kto winniejszy“.

*** W Toruniu wyszła powieść „O panu Czorlińscim co do Pucka po sece jachał“ w narzeczu kaszubskiem; autorem jest p. Jarosz Derdowski.

*** Wychodzącej we Lwowie od r. 1878 »*Dribnej Bibljoteki*« ukazał się właśnie zeszyt 14. zawierający społeczno-psychologiczne studjum Jana Franka p. t. »*Na dni.*« Jakkolwiek wybór pism w tym zbiorze nie zawsze był szczęśliwym, gdyż n. p. pomieszczenie „Assomoir“ Zoli w wydawnictwie przeznaczonym głównie dla młodzieży trudno usprawiedliwić, to jednak wydawcom należy się uznanie, chociażby tylko za wprowadzenie czysto-ukraińskiego języka, wolnego od barbaryzmów à la „Słowo“, i uproszczenie pisowni w kierunku fonetycznym. Zresztą przyswojenie literaturze ruskiej

takich autorów jak Byron, Emile de Laveleye, Pisarew i i. jest tem większą zasługą, że nawet polska literatura nie posiada n. p. tak znakomitego przekładu Bajronowskiego „Kaina“ jak przekład Jana Franka wydany w „Dribnej bibljotece.“

Niniejsza oryginalna praca p. Franka, prócz zalet językowych całej w ogóle „Dribnej bibljoteki“ odznacza się także potoczystem i barwnem opowiadaniem, jak niemniej dokładną analizą psychologiczną charakterów.

Przedmiotem tej analizy są typy proletarjuszowskie, żywcem schwycone w kozie szupaśniczej, a więc w istocie „na dnie“ społeczeństwa. Do swoich obrazów autor mało bardzo korzystał z fantazji którą posiada; malował z natury i z wielką prawdą odtworzył postacie godne Brengbelów, dzieci nędzy i występku, jakich nam niebrak niestety. Filozoficzny dziad. Pańko i obdarty student Stebelski, mówiący po niemiecku i po łacinie, uderzają nas prawdą tragi-komiczną, podobnie jak nas napełnia naturalną grozą zdziczały „Bowdur“, były robotnik borysławski, którego ideałem jest: jeszcze raz w życiu tak się — *upić*, żeby już nic nie wiedzieć o reszcie świata“ i który dla dopięcia tego celu, posuwa się aż do rozmyślnego morderstwa!

To „dno“ społeczeństwa tak jeszcze niestety mało znane jest w szerszych kołach, że niejeden posądzi autora o przesadę. — a jednak — *all is true...*

*** „Gazeta Rolnicza“ w Nrze 42. z rb. zawiera: 1. Reformy włościańskie w dawnej Polsce w XVIII wieku, przez Walerego Przyborowskiego. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem, napisał kr. Juljusz Au. 3, Doświadczenia z nawozami sztucznemi pod buraki cukrowe, napisał dr. A. Sempołowski 4. Opisy gospodarstw. Szczorsze, przez Aleksandra Jelskiego 5. Listy z gubernii kijowskiej, przez K. W. 6. Listy z Anglji, przez Pa.. Rys... 7. Przegląd polityczny. 8. Wiadomości bieżące. 9. Bibljografje i krytyka. 10. Kurjer rolniczy. 11. Odcinek zawiera: Szlachta w świetle własnych opinij, studjum historyczne Władysława Smolińskiego, oceuił Aleksander Rembowski.

Nauka

Towarzystwo naukowe w Toruniu rozpoczęło jesienną czynność odczytami ks. prof. Fryrychowicza „O kolendzie“, dr. E. Komierowskiego „Relacja o Wielkierzu, wsi starostwa gniewkowskiego z 1678 r.“ i K. Kujota „Urywki z listów biskupa chełmińskiego Bajera.

*** Zjazd niemieckich badaczów natury, zebrany w Gdańsku (18 – 24 września) rozbierał kwestje o wykopaliskach w delcie wiślanej, o ceramice grobowisk w Prusach zachodnich, i o zwyczajach podczas żniw w ziemiach polskich.

*** Instytut agronomiczny w Puławach, z nowo otwartym rokiem przyjął 120 nowych uczniów, i liczy dziś 250 słuchaczy, to jest więcej niż kiedykolwiek.

*** Szkoła weterynaryjna warszawska, ma być rozwinięta i zamieniona w instytut.

*** Korespondent neapolitański dziennika „Daily News“ donosi, że wielce uczony ksiądz Cligio Cosi, biskup czangtongski *in partibus infidelium*, znający wybornie język i literaturę chińską, wynalazł nowe abecadło dla tegoż języka, składające się tylko z 30 liter, gdy dotychczasowy język chiński składa się, jak wiadomo, z 3000 znaków. Cesarz Franciszek Józef, dowiedziawszy się o tem, podarował księdzu biskupowi kompletną drukarnię. Wynalazek biskupa może stanowić formalną epokę w życiu Chińczyków i jest prawdziwem dla nich dobrodziejstwem, ale zachodzi małe pytanie, czy ten naród skostniały w przyzwyczajeniach swych i cywilizacji odwiecznej, zechce z niego korzystać?

Sztuki Piękne.

*** Wielki obraz religijnych Franciszka Krudowskiego „Powrót z Golgoty“, nabyty został w Warszawie przez p. Trepkę za sumę 3.500 rs.

*** Ajdukiewicz pracuje nad portretem hr. Zamojskiej, oraz nad obrazem większych rozmiarów „Jarmark w Kalkucie.“

*** P. Jan Rosen wykończa obraz „Wyjazd oddziału Partyzantów“ przeznaczony do muzeum sztuki polskiej w Sukiennicach, założonego przez Siemiradzkiego.

*** W Warszawie uskuteczniony został trzeci z kolei zakup komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.

Wybrane zostały następujące obrazy: „Ucieczka“ Alchimowicza Kazimierza, „Krajobraz“ Maleckiego Władysława, „Odpust w małem miasteczku“ i Czytanie wici“ Strzałeckiego Wandalina, „Chrzciny“ Kureli Ludwika, „Powrót zwycięzcy“ Mireckiego Kazimierza, „Do sąsiada“ Perla Edmunda i „Pierwsza próba jazdy“ (akwarella) Kostrzewskiego go Franciszka.

*** Pomiędzy obrazami rodzajowemi na wystawie wersalskiej odznacza się „głowa młodego Włocha“, wykonana farbami wodnemi przez p. Fałata, młodego malarza szkoły monachijskiej.

Kompetentny dziennik paryski *La Chronique des Arts* wyraża się o tej pracy naszego artysty z wielkiemi pochwałami, zaznaczając, że p. Fałat zdołał wywołać niepomierne wrażenie siłą rysunku, pewnością wzroku i ręki.

Dziennik francuski dodaje, żs wykonanie obrazu jest prawdziwie mistrzowskie *(magistrale.)*

*** Władysław Żeleński wydał dwie piosnki: „Róża dzika“ słowa Kucza i „Niepewność“ słowa Mickiewicza.

*** W tych dniach dawano w Wiedniu po raz pierwszy wielki balet p. t. „Stock im Eisen“, z muzyką ułożoną przez Doplera.

W *pas de deux* jednak, tańczonem przez słynną hiszpankę Cereale, użyto muzyki Leopolda Lewandowskiego, dyrektora orkiestry warszawskiej.

Pismo, z którego wiadomość tę czerpiémy, zapewnia, iż i inne rzeczy „warszawskiego“ kompozytora, grywane są w Niemczech i ze względu na swą oryginalność dobrze są przyjmowane.

*** Aleksander Dumas pracuje obecnie nad nową sztuką, która ma być wystawioną w Komedji francuskiej.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Zbiory Podczaszyńskiego, kupiona za 3000 rs. przez akademię krakowską, wyprawione już zostały z Warszawy do Krakowa.

*** W przyszłym roku w Krakowie ma być urządzoną wystawa przemysłowo-rolnicza.

*** W dalszym ciągu działań Towarzystwa rybackiego w Krakowie ma być zawiązany oddział we Lwowie dla Pełtwi, w Sokalu dla Bugu i w Sanoku dla górnego Sanu.

*** W Szreńsku założoną została księgarnia pani E. Gumińskiej.

*** W Paryżu na radzie ministerialnej postanowiono wystąpić jaknajenergiczniej przeciw prasie skandalicznej, która coraz więcej się rozszerza i przeważnie działa zgubnie pomiędzy młodzieżą gimnazjów i liceów; w tym celu dane być mają stosowne instrukcje urzędom prokuratorskim.

*** W odbywającym się w Paryżu międzynarodowym kongresie pocztowym bierze udział dwadzieścia cztery państw, a mianowicie: Francja, Anglja, Niemcy, Austro-Węgry, Rosja, Włochy, Belgja, Szwecja i Norwegja, Danja, Szwajcarja, Hiszpanja, Portugalja, Bulgarja, Egipt, Brytyjskie Indje, Grecja, Luksemburg, Czarnogórą, Serbja, Rumunja i Niderlandy.

*** Z Gniezna do Nakła przeprowadzona być ma linja kolei żelaznej.

ROZMAITOŚCI.

Olbrzymi hotel.

W tych dniach otworzono w Berlinie hotel, który dziś już powszechnie uważają za największy w świecie.

Nazwisko tego gościnnego kolosu brzmi: „Hotel centralny.“

Zasługuje on zewszechmiar, abyśmy bliżej przyjrzeli się jego budowie i kunsztownym urządzeniom.

Dwa miljony marek ugrzęzło w tym czteropiętrowym gmachu, którego fundamenta zajmują przestrzeń sporej dzielnicy miasta.

Podróżnego, pragnącego zamieszkać w hotelu, przywozi powóz odrazu na dziedziniec, do stóp wielkich, w kształcie terasu zbudowanych, wschodów.

Kto nie chce używać jednej z dwóch, ustawicznie czynnych wind, ten wstępuje na wspaniałe wschody z brunatnego marmuru, o złotej balustradzie, wiodące w labirynt widnych i przestronnych korytarzy.

Hotel mieści 400 numerów z 600 łóżkami, nie licząc lokalów dla służby i biur administracyjnych.

Urocze saloniki, wysłane dywanami, o meblach z brunatnego pluszu, o złoconych obiciach ścian, o zwierciadłach z hebanowego drzewa — mają tyle wdzięku i elegancji, że można odrazu w nich zasmakować, jak we własnym domu.

Dla ludzi, wymagających reprezentacji, znajdujemy tu całe amfilady salonów i sypialni w wielkim stylu pałacowym urządzonych, należą do nich nawet osobne jadalnie, tak, że arystokratyczne rodziny, pragnące na zimę zamieszkać w Berlinie, mogą w swoich numerach hotelowych wydawać bale i rauty na wielką skalę.

W sypialniach wabią przedziwnie wygodne, obszerne angielskie łoża, pełne oryginalnego smaku urządzenia tualetowe, wygodne i przestronne alkowy.

Dodajmy, iż w urządzeniu pojedyńczych lokalów zachowano jak największą rozmaitość, tak, że każdy prawie numer ma swą wybitną cechę i nie kopjuje swego koleżki.

Po raz pierwszy to ustrzeżono się monotonnej jednostajności w urządzeniu hotelowem.

Do szczególnych wygód należy, iż każdy pokój oddzielony jest od sąsiedniego podwójnemi drzwiami, tak, że o podsłuchaniu ani podpatrzeniu nie może być mowy.

Szczególnie wygodnem jest urządzenie dla czyszczenia sukien.

Gość otwiera przeznaczone ku temu drzwi w pokoju i wstawia suknie w szafkę, do której z zewnątrz posiadają klucz numerowi.

Ci niezwłocznie otwierają szafkę i biorą wstawione przedmioty do oczyszczenia; poczem umieszczają takowe napowrót w szafce, zkąd gość je w dowolnej porze odbiera.

Kąpiele również wygodnie urządzone.

Na każdem piętrze są obszerne łazienki wszelkiego rodzaju tak rozmieszczone, iż gość ma tylko kilka kroków z pomieszkania do eleganckiej wanny.

Na tarasach w dziedzińcu otwartą zostanie kawiarnia.

Sale jadalne urządzone są z niebywałym przepychem.

Trzy sale mogą być w każdej chwili połączone w jedną olbrzymią; każda z nich wszakże tworzy zupełnie odrębną całość.

Dekoracje ich, złożone z wytwornych sztukateryj, fresków i boazeryj nie mają sobie równych w hotelach europejskich.

Z tych sal wstępuje się do czarującego ogrodu palmowego ogromnych rozmiarów, wobec którego niknie słynna „Flora“ w Charlottenburgu.

W ogrodzie tym dawane będą koncerty dla gości, bawiących w salonach jadalnych; prócz tego znajdują się na pierwszem piętrze małe loże, z których przypatrzyć się można zimowemu ogrodowi, nie będąc nawzajem widzianym.

W pośrodku podłużnego frontu znajduje się scena, która służyć będzie do widowisk teatralnych i koncertów hotelowych.

Oto pobieżny wizerunek hotelu, którego rozmiarów zapewne nie przewyższy przez długi lat szereg żaden inny powstać mający.

Ceny na dwóch pierwszych piętrach są dosyć wysokie, chociaż nie wygórowane w stosunku do przepychu i wygód.

Za pokój z dwoma łóżkami płaci się tutaj na dobę dziesięć marek; za wspaniały salon z balkonem dwadzieścia pięć marek.

Za to na trzeciem piętrze znajdują się pokoje po 2 marki i piędziesiąt fenigów, przewyższające bogactwem i komfortem w urządzeniu numeru pierwszopiętrowe najokazalszych hotelów warszawskich, które nażywają się także „europejskiemi“.

Dodajmy, że w cenie tej ogólnej mieszczą się już wszystkie te „obciążające okoliczności“, które w rachunkach hotelowych pod tytułem *bougies, service, chauffage* i t. p. potrajają skromną na pozór cenę numeru.

Imiona niewieście.

Imię jest jakby dodatkiem do osoby, a bardzo często jej zastępcą.

Towarzyszy ono człowiekowi od kolebki aż do grobu, służąc na odznaczenie go od innych, wzywanie ku sobie, a często wymówione w pewny właściwy sposób określa najwyższe dla posiadacza uczucie.

W życiu publicznem nazwisko pokrywa imię, które występuje obok niego tylko w stosunkach urzędowych, lecz w życiu domowem za to wraca do swojego wszechwładztwa, usuwając na plan ostatni nazwisko.

Nie umiemy sobie wyobrazić drogich uczuć w rodzinie, zwróconych do osób, bez związku z ich imionami; pieszczoty, wspomnienia, wyznania miłości nie mogą się obyć bez wymówienia drogiego wyrazu, mianującego przedmiot efektu.

Jeżeli mężczyzna siły, a kobieta jest obrazem piękna, to imiona im nadawane powinny odpowiadać rzeczonym pojęciom; kobieta uplastycznia pod wielu względami wyobrażenie piękna, dla niej też imię stanowi ważny nabytek.

Rodzice, którym na świat przychodzą córki, wiedząc o tem, bywają nadzwyczaj troskliwi w wyborze imienia; czasem... rady familijne decydują w tym względzie, gdy pomiędzy małżonkami do zgody nie przyszło.

W nadawaniu imion przebija się cała gama przywiązania, często i próżności rodzicielskiej; mając w kolebce niemowlę, nie mogą przewidzieć jaka istota z niego wyrośnie, dlatego zdarza się, że imię idealne przypadnie osobie najpospolitszej pod słońcem.

Rodzice, kochając dzieci, pragną je widzieć w przyszłości książętami, dlatego bywają wypadki, że imiona wyniosłe i arystokratyczne dostają się osobom zajmującym najniższe stanowiska w hierarchji społecznej.

Autorowie, zwłaszcza poeci, są także rodzicami swoich utworów, dlatego nie można im za złe brać, iż wyszukują odpowiednich imion dla swoich bohaterów; oni to wprowadzili symbolikę nazw, która weszła w krew publiczności czytającej, przyzwyczaiwszy ją do łączenia pewnych pojęć z imionami.

Tradycje religijne i ludowe były w symbolice imion punktem wyjścia: harmonja pomiędzy nazwą i osobą stanowi o wartości imienia, o jego prawdziwości.

Czy można sobie wyobrazić „Marję“ o kształtach fortepianu, smażącą z upodobaniem w kuchni kotlety? albo Zofię z zapłąkanemi oczyma, wzdychającą nad starym romansem pani Genlis?

W życiu spotykają się takie wypadki... w książce byłaby to anomalja; wszystkie imiona są piękne, jeżeli odpowiadają osobie, śmieszne, gdy w porównaniu wywołują dysharmonję.

Nazwa zatem dziecka nie może być rodzicom obojętna, powinna być mile brzmiąca i odpowiadać stosunkom, w jakich ono ma pozostawać.

Nieszczęśliwie wybrane imię mści się na dziewczęciu przez całe życie, piętnując ją śmiesznością aż na klepsydrach; ponieważ rodzice nie są w tem położeniu co autorowie, którzy aposterjorycznie nadają imiona, powinni zatem unikać przesady i pretensjonalności w wyborze nazwy, która z czasem na niewinną istotę śmieszność sprowadzić może.

Zwyczaj najlepszym jest regulatorem i nigdy nie staje się powodem krzyczącego rozdźwięku; przeciwnie imiona niezwyczajne są często przyczyną nieporozumień.

Poeci starożytni ściągali z Parnasu boginie pozostawiając im nazwy i to nie groziło niebezpieczeństwem dla typu, skoro ten odpowiadał w utworze pojęciom ogólnym; wieszcze średniowieczni częścią brali imiona z życia, częścią z wyobraźni; natchnione wszelako postacie Beatryksy, Laury i Fianetty nigdy nie zawiodły imienia.

W Niemczech imiona legendowe i rycerskie oddawna są ulubione; w średnich wiekach „Gertruda“ walcząca dzidą, „Ida“ boska, „Matylda“ odważna były w częstem użyciu.

Chrystjanizm wprowadził imiona świętych, usuwając pogańskie, z wyjątkiem imienia „Marji“ którego do reformacji nikt nie śmiał sobie przywłaszczyć, przez cześć dla matki Chrystusa...

Później weszły w zwyczaj imiona gospodarskie ze starego narzecza: „Berta“ prządka, „Małgorzata“ perła, „Marta“ głowa rodziny i wiele innych.

Użycie tych imion żadnego nie przedstawia niebezpieczeństwa, bo nie ma na świecie kobiety, którejby nie można przezwać Małgorzatą... jeżeli będzie poważną i piękną, świat mianować ją będzie „panną Mołgorzatą“, jeżeli świeżą i wesołą, „Małgosią“, a jeżeli fertyczną i bez inteligencji, po prostu „Małgorzatką“.

Pisarze francuscy kochali się w imionach wyszukanych!

Balsac i Sand wprowadzili ich całą serję, społeczeństwo jednak nie przejęło się tą afektacją i pozostało przeważnie przy imionach pospolitych.

Po rewolucji nastał dopiero chaos, który Napoleon zakończył, nakazując używania imion z kalendarza.

Po 1870 r. panuje taki sam nieporządek w Niemczech, gdzie, po wprowadzeniu małżeństw cywilnych, dają kobietom przez patrjotyzm imiona: „Wörth“, „Sedan“...

Jest obawa, aby w rozwoju dalszym tego systematu, nie dostały się paniom niemieckim inne imiona okolicznościowe; wszak niedawno czytaliśmy że w Paderbornie, po zgonie ulubionej suczki, imieniem jej nazwano świeżo urodzoną córeczkę...

Pietyzm jednakże stanowi drugą ostateczność, a w Niemczech nierzadką; w dzienniku, wychodzącym w Zwickau, znajdowała się klepsydra, w której stroskani rodzice donoszą: *»dass ihnen ihr Kind Lobgott, Dankegott, Bittegott Gustav, entrissen worden sei«*...

Purytanizm szkocki wprowadził także mnóstwo śmieszności do imion, używając na oznaczenie swych córek całych zdań z pisma świętego, co przypomina Chińczyków, posługujących się w tych razach tekstem Konfucjusza.

Zabawne są także imiona przerabiane z nazwisk n. p. „Blücherine“, „Gneisenauette“, modne po 1813 roku w Niemczech; imię „Landsturmine“, z tej samej epoki również, nie grzeszy pięknością.

U nas, pod względem imion, nie wielebyśmy śmieszności przytoczyć mogli.

Lubimy wspomnienia, ztąd legendowa „Wanda“ lub historyczna „Jadwiga“ nader są popularne i stosowne; stronimy od obczyzny, dlatego imiona „Fryderyka“, „Henrietta“ rzadko się spotykają.

Zdrobnienia pieszczotliwe bywają u nas zwykle dowcipne i rzecz dobrze malujące; obdarowani epitetami tego rodzaju, pozostają przy nich zwykle całe życie.

Imiona kwiatów, z wyjątkiem „Róży“, uważają się za przesadne, dlatego „Narcyza“, Hortenzja“ lub „Georginja“ mogą budzić pośmiewisko, zwłaszcza gdy złożone w kolebce trzy funty mięsa pod hasłem np. „Lilji“ wyrosną na wybujały groch szablasty lub też pękatą brukiew.

Imiona okolicznościowe są u nas nieznane, a jeżeli nam się kiedy obiły o uszy, to jedynie żartami.

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim“ zamieszczona ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego“ we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 43. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.